

STADJON

2 TYGODNIK • ILUSTROWANY
POŚWIĘCONY • SPRAWOM • KULTURY • FIZYCZNEJ



Na pokładzie polskiego jachtu „Junak” w drodze na Bornholm.

Raid motocyklowy zorganizowany przez ruchliwą sekcję Wojskowego Klubu Sportowego „Legja”, był imprezą w stu procentach udaną. Sam pomysł zorganizowania raidu do Wilna, wybranie właśnie tego kresowego miasta jako celu imprezy, jest rzeczą ze wszech miar zasługującą na uznanie.

Nic tak nie łączy ludzi jak bezpośredni kontakt. Raid motocyklowy ze stolicy Polski, z jej serca Warszawy, jest żywym wyrazem uczucia i nierozzerwalnym węzłem łączącym dalekie krańce Rzeczypospolitej w jedną wielką całość.

Wstęga szosy przejechana metr po metrze przez dziesiątki polskich motocyklistów i nadobne motocyklistki, zbliżyła i połączyła te dwie odległe stolice. Żywym wyrazem tego był nastrój, panujący na mecie w Wilnie.

Radość, bijącąc z twarzy miłych Wilnian na widok każdej przybywającej maszyny, okrzyki powitania i szczerze słowa uznania, mocne uściski rąk, świadczyły niewymownie o tem jak miłymi jesteśmy gośćmi.

O gościnności Wilnian nie wypada nawet mówić, są to rzeczy znane i cenione przez wszystkich, którzy choć raz mieli możność tam być. Nadmienić warto tylko, że wspaniałe wileńskie pierożki dostarczone na metę w olbrzymim koszu, jak również smaczna wędlina w wielkich ilościach znikaty w wytrzęsionych żołądkach raidowców.

Brać raidowa dzielnie spisawszy się na trasie, nie zgorej radziła przy bufecie.

Z miłą przyjemnością stwierdziłem olbrzymie zainteresowanie się polskim motocyklem C. W. S., na którym odbywałem raid do Wilna i z powrotem. Dowiedziawszy się, że w raidzie biorą udział motocykle polskiej produkcji publiczność tłumnie garnała się oglądać, czasami pytając z lekkim niedowierzaniem, czy aby wszystko zrobione było u nas w kraju. Sypały się pytania jak idzie motocykl, jaką rozwija szybkość, ile kosztuje i t. d.

Chętnie udzielałem wyjaśnień, a słysząc, że całą trasę odbyłem bez defektów i że maszyna spisuje się doskonale, widziałem żywe i szczerze zadowolenie.

Więcej nieufającymi byli współtowarzysze raidu. Ci ostatni tak jak myśliwi, uważający, że tylko ich strzelba, pies i strzał są najlepszymi, nie mogli nabrać początkowo przekonania.

W ich mniemaniu Harley lub jakaś inna zagraniczna maszyna musiała być lepszą.

Gdy na mecie w Wilnie zwalczałem takich niedowiarów, mówiąc, że przecież odbyłem trasę do Wilna bez defektu, zapewniali mnie, że to jeszcze nie koniec, zobaczymy jak będzie w Warszawie.

Dziwni ludzie, „cudze chwalicie, swego nie znacie”. Trasę do Warszawy odbyłem tak samo dobrze jak i do Wilna!

Zresztą na tym samym motocyklu w lipcu i sierpniu b. r. odbyłem raid nad morze i w Poznańskie, wynoszący około 3000 klm. bez defektów.

Bardzo wygodny i przyjemny w prowadzeniu, pewny i niezawodny w drodze, polski motocykl C. W. S. musi znaleźć prawo obywatelstwa wśród szerszego ogółu polskich sportowców motocyklistów.

Jako motocykl użytkowo-turystyczny, zużywający za ledwie 6—7 ltr. benzyny na 100 klm. i mogący zabrać zu-

pełnie swobodnie 3 osoby i dużo bagażu, przedstawia idealny środek lokomocji dla wszelkiego rodzaju wycieczek i weekendów.

Od mety przed Wilnem (8 klm.) zjeżdżamy do miasta wspaniałą serpentyną biegnącą stromym stokiem góry Ponarskiej. Tłumy publiczności po obu stronach jezdni głośnie mi oklaskami wesoło witają przybywających.

Ciepły letni wieczór, czar przeszłości, bijący od murów miasta, pełna majestatu i piękna wspaniała katedra, prześliczny mały kościółek za katedrą, o którym jak mówią mieszkańcy Napoleon powiedział „gdybym mógł go wziąć w swe dłonie, zabrałbym go do Francji”, stwarzają miły nastrój; pryska zmęczenie i niewyspanie poprzedniej nocy, pierś oddycha całą pełnią, dokoła unosi się nieuchwytny czar ballad Mickiewicza, dawnych dziejów, pięknej i tak bliskiej sercu każdego Polaka przeszłości tego miasta.

Po zaparkowaniu maszyn udajemy się na kwatery do starych, średniowiecznych murów szkoły zdobniczej. Wygodne i czyste łóżka kuszą zmęczone ciała raidowców przepastną głębią pościeli.

Niedzielnny ranek w Wilnie wita nas złotymi promieniami słońca. Na starcie ruch i gorączkowa praca przy maszynach, zbiorniki w dużych ilościach pochłaniają smary i mieszanekę spirytusową. Za chwilę start.

I znowu długim korowodem mkniemy już do Warszawy. Zaspiane oczy w każdym przydrożnym krzaku widzą „tajny punkt kontrolny”, szybki rzut oka na zegar i kartę drogową powoduje dodanie lub zmniejszenie gazu.

Wspaniała, nowowytbudowana szosa, barwną wstęgą wijąca się przez pagórki i bory ziemi wileńskiej, mami i kusi — dodać gazu; to też czynię nie bacząc na zmorę tajnych punktów kontrolnych.

Po drodze zatrzymuję się przed olbrzymim głazem kamiennym z umieszczoną marmurową tablicą, na której widnieje kilka słów i podpis Pana Prezydenta Ignacego Mościckiego z chwili otwarcia tej drogi. Dziesiątki podpisów ze świty Pana Prezydenta i kierownictwa budowy jak również przedstawiciele robotników zapełniają tablicę, świadcząc o trudzie i pracy owocnej w Odrodzonej Ojczyźnie.

Szereg godzin jazdy, mijamy Grodno, Białystok, szereg innych mniejszych i większych miast. Wszędzie świąteczne tłumy interesującej się publiczności.

Dzień powoli przechyla swą szalę ku wieczorowi, gdy w oddali zaczynają majaczyć sylwetki murów kochanej Warszawy.

Tempo na wspaniałej szosie ze Strugi wzrasta do potwornych rozmiarów, bez obawy już tajnych punktów kontrolnych, mijamy szereg spacerowych samochodów, motocykli i mkniemy.

W oddali rozpaczliwe ruchy chorągiewki na skřęcie do Grochowa, przymknięty gaz, lekko hamulce i zakręć za nami, jazda... lecz przed nami meta. Stop. Koniec podróży.

Organizacja raidu doskonała, cała trasa obstawiona przez policję i dozorców drogowych, w miastach ruch unormowany i zabezpieczony. Na mecie i starcie punktualność i idealny porządek. Organizatorom, za pracę ofiarną i wysiłek, należne są szczerze sportowe dzięki.

Wiktor Malachowski.

SKŁADAJCIE OFIARY

SKŁADAJCIE OFIARY

na FUNDUSZ OLIMPIJSKI

Konto Stadjonu w P. K. O. 7498

Na czekach dopisywać „Na Fundusz Olimpijski”.

STADJON

DWUTYGODNIK ILUSTROWANY
POŚWIĘCONY SPRAWOM
KULTURY FIZYCZNEJ

Płk. dypl. WŁADYSŁAW KILIŃSKI, Dyrektor Państw. Urz. W. F. i P. W.

SPOŁECZEŃSTWO I SPORT.

Kilka europejskich narodów północnych cieszy się opinią narodów wysokiej kultury fizycznej. Opinię tę wyrobiła im długoletnia tradycja gimnastyczna i sportowa, powszechność i masowość, dość znaczny ogólny poziom sportu i ustosunkowanie się do niego ogółu społeczeństwa. Rola tego ostatniego czynnika jest tu moralnie i materialnie szczególnie ważna. Społeczeństwo głęboko przekonane o potrzebie i wzwyczajone w dbałość o kulturę fizyczną, w szczególności sport, rozszerza krąg ogólnego własnego zainteresowania w to zagadnienie, jako zagadnienie wychowania, nieodzowny czynnik przystosowania do życia i utrzymywania na powierzchni życia obywatelskiego jednostki. Związek każdego tak wychowanego i urobionego obywatela z tą wychowawczą koniecznością trwa niejako bez przerwy i wyraża się tak w chęci obserwacji rozwoju tego zjawiska jak i pewnej współpracy i świadczeniu choćby bardzo skromnym ze względu na ilość odcinków pracy, wciągających dojrzałą jednostkę w swe tryby. Wynika z tego naturalna dyspozycja ogółu społeczeństwa i do materialnej ofiarności. Wtedy sport może stać się powszechnym dobrem i rozkoszą młodych, przyjacielem starszych. Wtedy sport przeradza się w pupila troskliwego i zasobnego mecenasa — ogółu obywateli.

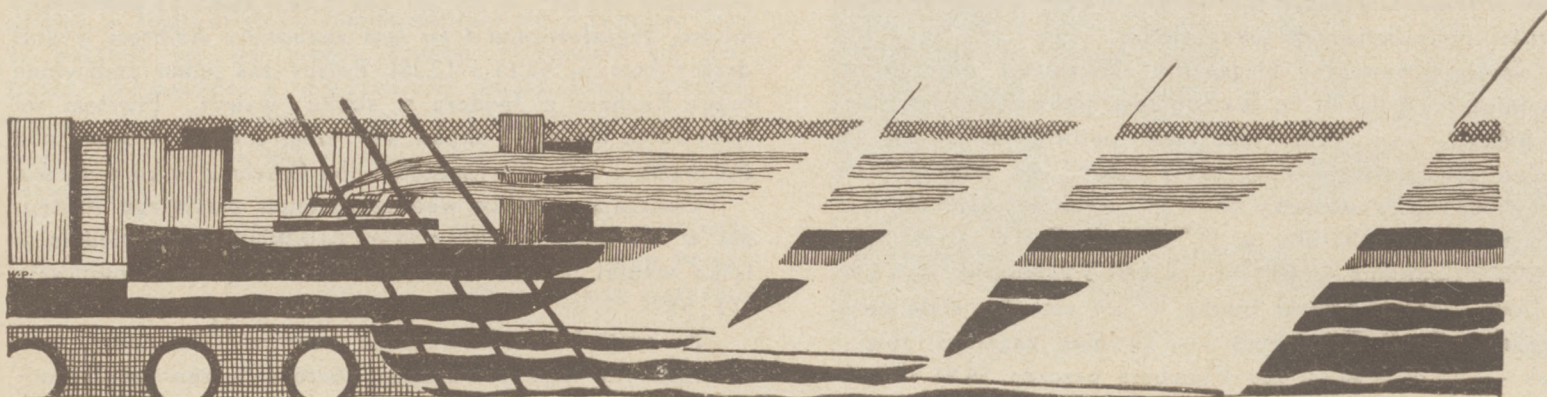
Taki stan rzeczy wytwarza się stopniowo. Każda idea musi walczyć o zdobywanie terenu, zanim się na nim pewnie i swobodnie rozsiądzie. Bez tego stanu powszechność i masowość sportu będzie kuleć i poziom będzie cudacznie skakał w górę i w dół. Do osiągnięcia tego warunku rozwojowego dla sportu sama idea odmierza różne, czasem wyboiste i cierniste drogi.

W Polsce garstka zapaleńców, nieliczne grono niezamierzonych lub średnio zamożnych mecenasów i kilku fachowców bez poparcia ogółu społeczeństwa doprowadza sport i całą kulturę fizyczną pod skrzydła poważnego opiekuna Rządu, z inicjatywy przemożnego moralnie mecenasa Marszałka Piłsudskiego. Po pięciu latach tej opieki warto za-

stukać do sumienia ogółu społeczeństwa o rachunek z jego stosunku do sportu.

Garstka zapaleńców związała się już w pokaźną gromadę, fachowców przybyło nie tyłu, ilu trzeba, grubo zamało, ale tych nikt nie wytrząśnie szybko z rękawa. Społeczeństwa — mecenasu niema, nieliczne grono pojedynczych osób zubożało i w wierze, że się zwiększy, szarpie się w sieci pracy i zaszłapanego deficytem gotówkowym budżetu klubów sportowych, świadcząc osobiście materialnie ponad możliwość, ponad wytrzymałość nerwów. Ogół społeczeństwa deleguje wcale nie za liczne okrucy własne na emocjonujące zawody, rozkoszuje się przez tego skromnego zastępcę postępowaniem jednostek utalentowanych sportowo, rzadko wschodzącymi gwiazdami, niedbały o narybek, nie ciekawy, skąd te talenty wyszły i czym okupiły lub okupują wyczyn z winy społeczeństwa, które może ostatecznie zapłacić za widowisko, lecz do współpracy i obowiązku wspomagania warsztatów pracy się nie poczuwa z własnej woli, z własnej inicjatywy. Grosz społeczny, tkwiący w sporcie, buduje boisko, kupuje sprzęt z mocy uchwał sejmikowych wynoszonych z zabiegliwości, namowy i energii przewodniczących, lecz nie z poczucia potrzeby łożenia każdej jednostki na własne ognisko sportu lub dla najbliższych. Te tendencje wciskają życie sportowe wyłącznie w kleszcze z natury rzeczy przyciężkiej maszyny samorządu i rządu, regulatorów, lecz nie motorów życia sportowego.

Trzeba koniecznie zazębiać kluby i stowarzyszenia sportowe mocniej ze starszym, chętnym do pracy i swobodniejszym finansowo społeczeństwem. Skoro zawczasu niestety na liczne rzesze czynnych i wspierających seniorów, to trzeba ideą przyciągnąć, interesem wychowawczym kusić, możliwością pracy szanownej i cenionej schlebiać, a jednak członków starszych, bo inaczej życie sportowe nie popłynie rozlewnym nurtem po wszystkich warstwach społecznych i nie wyciągnie z nich tych wszystkich organizacyjnych i materialnych zasobów, które winny i mogą się ujawnić dla dobra i interesu wychowawczego państwa i narodu.



W A G R I K O L I I W P R A D Z E

Pierwsze nasze lekko-atletyczne walki z Czechami.

Przed kilkunastu dniami w decydującym spotkaniu z Czechami zdobyliśmy puchar Min. Zaleskiego. Nasze lekko-atletyczne boje z Czechami trwają jednak już znacznie dłużej niż od pięciu lat i w październiku przypada dziesięciolecie pierwszych zawodów międzynarodowych, w których zawodnicy tych dwóch narodów spotkali się wprawdzie nie w oficjalnym meczu, jednak w walce najlepszych z najlepszymi. W ten sposób lekkaatletyka obok narciarstwa i piłki nożnej najdawniej nawiązała z Czechami stosunki sąsiedzkie, wyprzedzając pod tym względem wioślarstwo, pływanie, boks, zapasy, ciężką atletykę, szermierkę, strzelanie i tenis.

Dziś, kiedy puchar Min. Zaleskiego przechowywany w szafie naszego Zw. Lekkoatletycznego jest widowym znakiem naszego nad Czechami triumfu, warto wspomnieć te pierwsze nasze walki na czeskim froncie, które przyniosły nam tak boleśnie odczuta klęskę w roku 1922 w Pradze.

Gdy na jesieni 1921 roku P. Z. L. A. rozesłał do kilkunastu krajów zaproszenia na organizowane w Polsce poraz pierwszy międzynarodowe zawody lekkoatletyczne nie było rzecz prosta wielu amatorów wyjazdu do kraju, który w sporcie był wielką niewiadomą, a raczej — niczem.

Zjawiło się więc 6 Francuzów, bo tak wypadło, 3 Estończyków, bo z Estonją od początku istnienia tego państwa łączyła nas szczerą przyjaźń i dwaj Holendrzy, bo trafiała się okazja wyjazdu do „egzotycznego” kraju, a oni lubili podróżować.

I obok tych 11 zawodników z małymi wyjątkami reprezentujących wysoką klasę europejską znalazło się aż 23 Czechów.

Wypada nam z całym uznaniem podkreślić fakt, iż będąc jeśli nie pierwszorzędną, to jednak zupełnie określoną wielkością w lekkiej atletyce, skorzystali Czesi z pierwszej okazji żeby nawiązać z nami stosunki sportowe. Prawdopodobnie zresztą zależało im również na tem, by na wstępie międzynarodowego życia sportowego największego słowiańskiego państwa jakim jest Polska, zaakcentować iż największą potęgą sportową są jednak oni — Czesi. Tak czy inaczej gromadne przybycie ich na pierwsze nasze zawody międzynarodowe zasługuje na życzliwe odnotowanie.

Kiedy 15 października 1921 roku stawaliśmy do tej swej pierwszej walki międzynarodowej, czuliśmy zdecydowany respekt przez zagranicznymi gośćmi, z których kilku opromienionych było szeregiem poważnych sukcesów na szerokim świecie, a nawet na Olimpiadzie. Również na Czechów, którzy przybyli na czele z Vohralikiem i faktycznie byli nieoficjalną reprezentacją narodową, patrzyliśmy jak na swych bezapelacyjnych pogromców. Doskonale bowiem zdawaliśmy sobie sprawę ze swych skromnych możliwości początkujących lekkoatletów.

Istotnie francuscy biegacze i skoczkowie oraz estońscy miotacze, okazali się zawodnikami pierwszej klasy. Czesi jednak poza Vohralikiem nie potrafili dotrzymać im kroku. Zwycięstwami Francuzi i Estończycy podzielili się sprawiedliwie, w stosunku do ilości swych zawodników. Lorrain wygrał oba sprinty w 11" i 22,8", Ferry — 400 mtr. w 51,5", Gonilleux — 800 mtr. w 2:01", Duquesne — 8 km. w 26:05", Gajant wygrał tyczkę — 334 cm. Pozostałe zwycięstwa zabrali Estończycy — Tammer zażegnał kulę i dysk — 13.27 i 40.72, zaś Klumberg oszczep 58.84 i skok wzwyż razem z Everem po 178 cm.

Czesi okazali się — liczbą, ale nie siłą. Stali mniej więcej na naszym poziomie, bo choć zajęli drugie i trzecie miejsce na 8 km, drugie na 200 mtr., a trzecie w kuli i biegu na 800 mtr., to przecie w szeregu konkurencyj ustępowali nam, a we wszystkich przegrywali do Francuzów i Estończyków. Na sto mtr. Piątkowski w 11,4" zajął drugie miejsce bijąc Skokana, Szydłowski był 2-gi w oszczepie z 46.24, trzecie miejsca zajęli Cybulski w dysku i tyczce 37.50 i 305, Kuchar w skoku wzwyż 172 cm i Habich w biegu na 400 mtr. w 53,4".

Jedynym prawdziwym triumfem Czechów było wspaniałe zwycięstwo Vohralika na 1500 mtr. w zawrotnym na ówczesne stosunki czasie 4:04.9". Niedarmo Vohralik był finalistą antwerpskiej olimpiady!

I oto w drugim dniu zawodów odnosimy nasze pierwsze wielkie zwycięstwo na międzynarodowych zawodach, bijąc tego właśnie Vohralika! Agrikola miała czego szaleć, dowiedziawszy się, że nieznaną wówczas jeszcze zawodnik Polonji, Rothert, zwyciężył Vohralika. Sukces był oszałamiający, tembardziej oszałamiający, że publiczność nie bardzo rozumiała, iż zwycięstwo w biegu... z wyrównaniem nie mówi rzecz prosta o wyższości zwycięzcy nad zwyciężonym. Wystarczał wszystkim fakt, że Polak przewał taśmę przed Vohralikiem, o którym mówiło się jako o olimpijczyku.

Istotnie Rothert, którzy otrzymał od Vohralika w biegu na 1000 mtr. z wyrównaniem 105 mtr. fory, przeprowadził walkę ze wspaniałą ambicją, zdradzającą jego przyszły nerw sportowy i pomimo rozpaczliwej pogoni nie dał się dojść Vohralikowi, który na pocieszenie miał znakomity, do dziś dnia nie pobity przez żadnego słowiańskiego biegacza czas 2:33,2".

Mało pomyślne dla Czechów wyniki jesiennych zawodów wyrobiły w Polsce o nich przeświadczenie, iż nie są to dla nas przeciwnicy nie do pokonania.

To też, gdy w roku 1922 doszło do lekkoatletycznego trójmeczku słowiańskiego w Pradze, nie tylko byliśmy pewni zwycięstwa nad Jugosławją, której sił dokładnie nie znaliśmy, ale liczyliśmy również na zajęcie pierwszego miejsca jako na rzecz bardzo prawdopodobną.

Tem większe było rozczarowanie, gdy okazało się, że przeceniliśmy nasze siły i zajęliśmy ostatnie miejsce, przy czem w biegach byliśmy przeciwnikiem o klasę gorszym od Czechów.

5 i 6 sierpnia 1922 roku w Pradze przysł pierwszy sen naszych lekkoatletów o potędze, dla dojścia do której trzeba było jeszcze ładnych kilku lat pracy.

Klęska była kompletna. Licząc za pierwsze miejsce 1 pkt., za drugie 2 pkt. i t. d. Czesi zdobyli 139 pkt., Jugosłowianie 222 pkt., a my 251 pkt. Czesi zajęli 13 pierwszych miejsc, Jugosłowianie 4 (w tem znakomity Ambrozi wygrał dysk i kulę — 42.15 i 13.28), Polacy zaś jedno podzielone przez Kuchara z Janderą w skoku wzwyż. Przytem we wszystkich biegach i skoku wdał obaj Czesi byli przed obu Polakami, a Polacy wyprzedzili obu Czechów tylko w dysku.

Obliczając punkty według systemu przyjętego następnie w zawodach o puchar Min. Zaleskiego i uwzględniając tylko wyniki polskie i czeskie Czesi wygrali to spotkanie 113:54!!!

Ze względu na historyczne znaczenie dla naszej lekkiej atletyki tego pierwszego naszego meczu międzypaństwowego notujemy tu wyniki Czechów i Polaków.

100 mtr. — Skokan 11,4", Linka, Sośnicki, Habich; 200 m. — Skokan 23,3" rek. czeski, Fleischer, Weiss; 400 m. — Karel 53", Sykora, Habich; 800 m. — Vohralik 2:05", Karel, Kuchar, Świętochowski; 1500 m. — Vohralik 4:15". Biożek, Emchowicz, Jucewicz; 5 km. — Linka 16:38", Brożek 17:06", Ziffer 17:25", Baran; 110 m. płotki — Jandera 17,6", zdyskw. za przewrócenie 3 pł., Kasl 17,8", Kuchar, Misiński, 4×100 m. — Czechy 45,4" rek. czeski, Polska; 4×400 m. — Czechy 3:38,8", Polska 3:43,6"; skok w dal — Sobotka 665, Jandera 634, Kuchar 619, Sośnicki 605; skok wzwyż — Kuchar i Jandera 171,5, Gruner 165, Bulin 160; tyczka — Ivo 330, Adamczak 321, Cybulski 300, Linka 290; trójskok — Jandera 1243, Kuchar 1234, Ivo 1202, Sośnicki 1194; pchnięcie kulą — Ivo 12.70, Cybulski i Baran II 11.13, Nimrichter; dysk — Cybulski 39.09, Szydłowski 38.55, Suk 36.80, Kopecky 35.05; oszczep — Szydłowski 49.55, Hejtmerek 49.53, Gruner 45.98, Pasek 43.32; chód na 2 km — Hoffman, Ciza, Baran II i Misiński. W ten sposób na wyróżnienie zasłużyli Cybulski w dysku, Szydłowski w obu rzutach, Adamczak w tyczce i Kuchar za niezwykłą na owe czasy wszechstronność i ambicję.

Praska klęska rozpętała istną burzę w nielicznym jeszcze ówczesnym naszym sportowym światku. Gromy spadły na władze związku, kierowników ekspedycji i zawodników. Posypały się też głosy oburzenia przeciwko gospodarzom zawodów — Czechom.

Niestety oburzenie było słuszne. Zgotowane nam w Pradze przyjęcie urągało elementarnym zasadom przyzwoitości.

Nikt nie oczekiwał przybycia drużyny na dworcu, a gdy po czterogodzinnem błakaniu się po obcym mieście znaleziono wreszcie gospodarzy, ci zaprowadzili naszych zawodników do lokalu, w którym jedynie słoma na ziemi bez jakiegokolwiek pościeli służyć im miała za postanie. Dopiero pod grozą natychmiastowego opuszczenia Pragi otrzymali Polacy (i Jugosłowianie) pokoje w hotelu. Jedli jednak przez cały czas w jakiejś trzecie rzędnej restauracyjce, a gdy chcieli potrenować — gospodarze nie wpuścili ich na bieżnię!

Nic dziwnego, że w tych warunkach niedoświadczeni i pierwszy raz występujący zagranicą nasi zawodnicy stracili resztę szans.

Tem większa była chęć udowodnienia, iż wynik praski nie odzwierciedla rzeczywistego stosunku sił w normalnych warunkach.

Niestety na otrzymanie rewanżu musieliśmy czekać całe pięć lat, w następnym bowiem roku trójmecz słowiański już się nie odbył.

Wobec polsko-czeskiego sporu o Jaworzynę nasz świat sportowy zerwał stosunki z Czechami i bojkotował ich aż do czasu rozstrzygnięcia sporu.

Kiedy zaś stosunki sportowe zostały wznowione na próżno w ciągu kilku lat dopominaliśmy się o rewanż, Czesi uchylali się od niego. Trudno zrozumieć ich pobudki. Wprawdzie w międzyczasie poczyniliśmy znaczne postępy, jednak obiektywnie biorąc Czesi nie powinni byli jeszcze obawiać się nas zbyt, jak to wyglądałoby z ich zachowania.

Tymczasem nietylko uchylali się oni od wznowienia trójmecz słowiańskiego, ale co niestety źle o nich świadczy, usiłovali na nas zwalić winę, choć czyniliśmy wszystko by doszedł on do skutku.

Wreszcie w 1925 roku zdawało się już, że wyjdziemy „na ubitą ziemię”, znów jednak trzeba było przepześcić

na nieskończonej korespondencji pomiędzy związkami i polemice prasowej.

Skończyło się na tem, że w 1926 roku w Warszawie zamiast trójmecz słowiańskiego odbył się mecz Polska—Jugosławja. Goście przegrali wprawdzie 42:97, okazali się jednak niezwykle sympatycznymi, ambitnymi i lojalnymi sportowcami, co przyczyniło się odrazu do nawiązania serdecznych stosunków pomiędzy nami i naszymi południowymi braćmi.

W roku następnym w Zagrzebiu znów zwyciężyliśmy 94:46.

Zarówno nawiązanie serdecznych stosunków polsko-jugosłowiańskich, jak i nasze zwycięstwa zadecydowały o tem, że Czesi niezwykle czuli na punkcie swej przodowniczej roli w sporcie słowiańskim, zgodzili się wreszcie zmierzyć z nami siły.

Tak doszło we wrześniu 1927 roku do pierwszego międzypaństwowego meczu lekkoatletycznego Polska—Czechosłowacja.

Od roku 1922 zmieniło się wiele. Wprawdzie Czesi przez ten czas zrobili znaczne postępy, ale i nasi czołowi zawodnicy stanęli już na wyżynie Europy.

Z dawnych uczestników trójmecz praskiego na starcie znaleźli się już tylko Adamczak i Baran II.

A pozatem nowi ludzie, nowe wyniki i zdawało się nowy układ sił. Znów byliśmy pewni zwycięstwa. I obiektywnie biorąc było ono tym razem naprawdę możliwe. Ale realne siły Czechów i rzeczywiście nasze niepowodzenia raz jeszcze przekreśliły wszelkie obliczenia.

Znów przegraliśmy! Jest rzeczą ciekawą, że w walce z Czechami powodzenie uśmiechnęło się nam wtedy, gdy zdawało się najmniej można go się było spodziewać, bo w roku 1928 w Pradze. Zwyciężyliśmy różnicą jednego punktu, co było zadatkem przyszłych już zupełnie wyraźnych sukcesów, które w roku bieżącym doprowadziły do zdobycia pucharu Min. Zaleskiego.

Nie jest to zresztą koniec naszej rywalizacji sportowej. Trwać ona będzie w dalszym ciągu.

J. Szyszko-Bohusz.



Przybycie wycieczki harcerzy z Augustowa do Warszawy.



Doroczny kurs Wychowania Fizycznego w liceum Michelet'a w Paryżu.

ŚRODEK CZY CEL?

Rekord czy masa? — Wszechstronność czy specjalizacja? — W. F. czy sport?

Zagadnienia, wymienione w tytule, są tak ważne, iż każda myśl, mogąca rzucić na nie nowy snop światła, zasługuje na gruntowną analizę.

Nie solidaryzując się ze znaczną częścią wyrażonych w tym artykule poglądów, Redakcja uważa jednak, iż wydrukowanie jego, jako artykułu dyskusyjnego, leży całkowicie w interesie sprawy, tembardziej, że pochodzi on od jednego z najstarszych i najzasłużeńszych naszych działaczy sportowych.

Nieoceniony Harold Hautwargh powiedział: „Zrozumieć sport może tylko taki, co go przez 10 lat uprawiał”. Tacy powyższych zagadnień i przeciwstawień nie wymyślili. Mogły się one narodzić tylko w umysłach nie znających i nie wyczuwających istoty sportu.

Ile razy traktowano sport jako środek, zawsze wyniki były słabe i to zarówno sportowe, jak w sprawie, dla której miał sport służyć jako środek. Sport dla sportu, czyli dla rekordu (w szerokim pojęciu — od życiowego do światowego), musi prowadzić do racjonalnych ćwiczeń, do zachowania zdrowia, pominiawszy całą stronę moralnego hartu. Aby osiągnąć prawdziwy Rekord (przez duże R), czyli maksimum możliwości, a nie taki sobie rekordzik wykombinowany fuksem, dzięki formalnym okolicznościom (niestety i w sporcie jest biurokracyzm) — zawodnik musi być w pełni zdrowia i w pełni harmonijnego rozwoju fizycznego. Na to trzeba sporo lat cierpliwych, metodycznych przygotowań, ścisłego trzymania się marszruty treningowej i pełnego, a nieraz b. przykrego powstrzymywania się od wylamań z tej marszruty, dla niewczesnych popisów, łatwych i częstych

triumfów, które zwykle podrywają zdrowie zarówno fizyczne i moralne i uniemożliwiają dojście do formy rekordowej”. Exemplum Finlandja: Taki Nurmi potrafi dwa lata trenować w cichości, by ku zdumieniu zagranicy pobić w jakiejś fińskiej dziurze nowy rekord światowy. Na mecz z Węgrami, Francuzami i t. d. wysłała Finlandja drugi garnitur, bo udział w meczu zepsułby marszruty treningową najlepszych zawodników — i mecz najczęściej przegrywa, ale zato ma wciąż nowe rekordy i zawsze zwycięża na Igrzyskach Olimpijskich. A rekordziści fińscy po dziesięciu latach bicia rekordów zachowują pełnię sił, hartu i zdrowia.

U nas, zwalczając ujemne objawy w sporcie, atakuje się zasadę czystości sportu. Omyłka! Ataki są skierowane wręcz w przeciwną stronę. To co się niepodoba jest właśnie mocno nieczystym sportem. Bo to, co niektórzy (patrz wyżej) nazywają sportem dla sportu — jest poprostu traktowaniem sportu jako środka do kolekcjonowania dyplomów, pułarów, pułarków, punktów, okłasków i t. p. przyjemności, a w użyciu czynników miarodajnych jako środka reklamy. Nie dla sportu, ale dla reklamy, czy też źle rozumiałej propagandy eksploatuje się naszych czołowych zawodników. Rezultat — najczęściej blamaż, a pozatem załamanie marszruty treningowej zawodników, godzące w kondycję fizyczną i moralną, które unicestwiają szanse dojścia do potencjalnie możliwego rekordu. U nas robi się odwrotnie niż w Finlandji. Dyskwalifikuje się Petkiewicza za wycofanie się z biegu, a właściwie powinien być zdyskwalifikowany „pan dygnitarz” co go do tego biegu zmuszał, bo czynił to dla dobra reklamy, a nie dla dobra sportu. Jeżeli więc są niepożądane skutki — to dlatego, że się robi ze sportu cyrk i wogóle traktuje jako *środek* do innych celów poza Rekordem. Jeżeli zatem chcemy uniknąć ujemnych objawów w sporcie — powinniśmy propagować kult Rekordu (t. j. możli-

wie najwyższego wyniku zarówno absolutnego, jak i indywidualnego u najsłabszego nawet zawodnika).

Wwyż czy wszecz? Cokolwiek psychiki, statystyki, zasad selekcji i prostego rachunku prawdopodobieństwa! Rekord i masa idą w parze. Rekord świeci przykładem, podnieca i zachęca masę do uprawiania sportu. Masa wyłania z siebie rekord. Rozbudowa sportu wszecz jest najważniejszą, jedyną naturalną, zdrową podstawą do postępu w wynikach. U nas niestety szło się drogą najmniejszego oporu — metodą wyławiania i forsowania kilku jednostek. Brało się konieczność wytworzenia zawodników o „europejskim poziomie” dosłownie, sprowadzało się gotowych mistrzów o polskim pochodzeniu wprost z zagranicy, naszywało im orzełka na kostjum i w ten sposób najczęściej osiągało „europejski poziom”. To był ordynarny bluff. Ale to mogło się udawać tylko w chaosie powojennym. Ta sztuczna metoda „fasowania” rekordów dała asumpt do traktowania rekordu i przeciwstawienia mu sportu masowego. Ale takie przeciwstawienie to absurd, bo wysokość rekordu jest w normalnych warunkach wprost proporcjonalną do masy. Zatem może być tylko kwestją: czy osiągać rekord metodą „fasowania”, czy metodą rozbudowy sportu wszecz. Czyba co do wyboru nie może być tu dwóch zdań. A więc, należy dążyć do stałego postępu w rekordach przez poruszenie jaknajwiększej masy zawodników.

Kpt. Dobrowolski udowodnił już w Stadjonie, że i specjalizacja wymaga harmonijnego rozwoju fizycznego. Zajmiemy się więc wszechstronnością, która jest praktycznie rzeczą niemożliwą zarówno ze względu na czas, jak i uzdolnienia poszczególnych zawodników.

Jeżeli dobry pianista nie może być jednocześnie dobrym skrzypkiem, dentystą, harfiarzem i śpiewakiem i tego mu nikt nie ma za złe, to czemuż wymaga się od nieszczęsnych sportowców, aby uprawiali wszystkie sporty naraz. Przecież niektóre rodzaje sportu wręcz kolidują ze sobą. Jeśliby Trojanowski uprawiał długodystansowe biegi, a Chmiel podnoszenie ciężarów — to staliby się miernotami. Co za sens robić ze słonia motylka i naodwrot, to się robi tylko w cyrku. Nawet mistrzowie dziesięcioboju nie są wszechstronni — wszyscy z reguły mają nieciekawe wyniki na

1500 mtr., a w pozostałych trzech działach lekkiej atletyki tylko w dwóch najwyżej celują: Järvinen, doskonały w krótkich biegach i skokach jest słabszy w rzutach, Yriola, doskonały w rzutach i skokach, jest słabszy w biegach krótkich. A sam wielobój to też specjalność, wymagająca wyjątkowych uzdolnień i żmudnych przygotowań. Dziesięciobojowiec musi zacząć od specjalizowania się w poszczególnych dyscyplinach wieloboju. Wielobój to rzecz piękna, ale niedostępna dla początkujących. Chyba lepiej mieć dobrego specjalistę, niż wszechstronnego patałacha! I wogóle poco kruszyć kopje o wszechstronność, kiedy jest ona niemożliwością i poco zwalczać specjalizację, kiedy daje ona nam harmonijny rozwój ciała i hart ducha — to czego się od sportu spodziewamy.

Wychowanie fizyczne czy sport? Da liegt der Hund begraben! To jest główną przyczyną wszystkich nieporozumień, że za zielonym biurkiem (patrz wstęp) nie chce się uznać sportu tem, czem jest, że go się chce porównywać wzgl. przeciwstawić z wychowaniem fizycznym, popełniając zasadniczy błąd, gdyż sport i wychowanie fizyczne to dwa pojęcia, dwie dziedziny całkiem odrębne i niewspółmierne. Sport wznosi się na poziomie sztuki muzycznej, czy sztuk plastycznych lub sztuki słowa — i stosunek sportu do wychowania fizycznego jest np. taki, jak twórczości literackiej do nauki języka polskiego. Można przeprowadzać wychowanie fizyczne bez sportu, z użyciem sportu częściowo lub wyłącznie metodą sportową, tak jak przy nauce języka oprócz suchej gramatyki korzysta się z utworów literackich i daje się nawet uczniom możliwość próbowania twórczego talentu. I tak jak jest pożądanem, aby poeta znał gramatykę, tak jest wysoce wskazanem, aby zawodnik przeszedł za młodu przez metodyczne wychowanie fizyczne. Ale to umniejsza niedorzeczności w usiłowaniu zastąpienia sportu wychowaniem fizycznym. Czy można porównywać piernik z wiatrakiem, choć wiatrak robi mąkę na pierniki? Czy można mierzyć jedną miarą skądinąd chwalebne i pożyteczne, ale bezmyślne obkuwanie się na lekcjach gimnastyki lub domowe zabiegi higieniczne z kultywowaniem wielkiej sztuki jaką jest sport?

Inż. A. Zaleski.

A K T T R Z E C I

Równocześnie z artykułem moim, poświęconym dziwacznym niepokojom fanatyków krakowskich, a określającym ich ataki na „warszawskie” P. U. W. F. i Z. Z. jako trafiające „kulą w płot” — ukazał się na łamach „Kurjera Sportowego” Nr. 35 nowy sążnisty elaborat, zatytułowany „Kluby sportowe w niebezpieczeństwie, akt drugi”.

Umieszczając spokojne i rzeczowe sprostowanie Państwowego Urzędu Wychowania Fizycznego i Przystosowania Wojskowego, dowodzące, iż swym wystąpieniem autor „aktu pierwszego” się mocno ośmieszył a w sporym stopniu i skompromitował, „Ilustrowany Kurjer Codzienny” z uporem godnym lepszej sprawy usiłuje dowieść, iż mimo wszystko klubom grozi zagłada, iż chcą im narzucić rzeczy, wiodące do zguby, iż uplanowano i ukartowano akcję, dążącą do całkowitej likwidacji społecznego ruchu sportowego.

Oczywiście, takie twierdzenie jest poprostu komiczne. Absurdalność jego nie może nie być jasną nawet dla autorów krakowskich elukubracji. Jeśli więc obstają przy swoim, to bezprzeczenie tylko po to, by karmić czytelników niekoniecznie zdrową „sensacją” by, jednym słowem podtrzymać „ruch w interesie”.

Klasyczną formą komedjową jest utwór trzyaktowy. Odnosi się to do wszelkiego typu sztuczek „wesółych”, a więc i do fars, operetek i nawet zwykłych szopek. Przypuszczając tedy należy, że i „Kurjer Sportowy” zatrzyma się w swojej kampanji na trzech aktach. Inaczej możnaby pomyśleć, że traktuje ją na serjo, że chce w niej widzieć coś — z dramatu... A to jest przecie najzupełniej niemożliwe!

W „akcie drugim” dowiadujemy się, że ogłoszenie okólnika Z. Z. mogło mieć na celu tylko zaszkodzenie klubom: że „okólnik Z. Z. zrodzony z doktryny i całkowitego oderwania się od realnego życia sportowego, powtórzył P. U. W. F., gdyż było mu to wygodne, a czy potrzebne i czy w porozumieniu z autorami z ulicy Wiejskiej — to rzecz inna”.

Dostaje się niezgorzej i ulicy Wiejskiej „Związek Związków odzywa się rzadko, ale zato niezawsze z uzasadnieniem”. „Z. Z. jest instytucją sportową utrzymującą się z wkładów klubów i opłat z imprez. Wątpliwem jest, czy za te ofiary opłaca się mieć organ albo bezczynny, albo tylko krytykujący”. „Opinia Związku Związków niezawsze jest dla organizacji sportowych autorytatywną”. Wreszcie wyraża pogroźka: „Związek Związków pochodzi z wyborów,

na których głosują przedstawiciele Związków Państwowych. W czym więc ręką pozostaje moc całkowitej zmiany „autorytatywnej” instytucji, jeżeli nie właśnie w rękach tych atakowanych klubów?”

Ale uwolnijmy czytelników od konieczności czytania tych niesmacznych warcholskich apostrof. W ostatnim numerze podaliśmy in extenso ten tak zwalczany okólnik Z. Z., zawierający, owszem, słowa krytyki dla klubów zapominających o wyższych celach sportu, ale zawierający przede wszystkim rozsądne i rzeczowe rady i wskazówki. Jeśli więc „komedjopisarz” z Krakowa deklamuje: „Owszem! Niech szeroki świat sportowy dowie się, jakie zarzuty Z. Z. stawia mu za pośrednictwem P. U. W. F. Niech sport polski przekona się, jakim zarzutem chce P. U. W. F. nadać swą powagą znaczenie specjalne!” — to nie możemy się już śmiać tak, jakbyśmy się szczerze śmiać chcieli z dowcipnego żartu, a zaczynamy krzywić się z niesmakiem i... ze wstrętem.

Doprawdy wstrętą zaczyna być ta naganka na wszystko, co w sporcie polskim jeset zdrowe i ideowe, to dzwonięnie na alarm z powodu... iż lekarz chce usunąć gangrenę! I bolesnym jest fakt, iż do dyspozycji krzewicieli i obrońców zepsucia stoją łamy jednego z największych pism polskich. Iż staje się ono rozsądnikiem zarazy.

Bo cóż jest właściwą treścią artykułów „Kurjera”? Pomińmy już fakt, iż imputowanie P. U. W. F. chęci „zgałdzenia” klubów sportowych na niczem nie jest oparte, iż przypuszczenie, że ogłosił on komunikat Z. Z. wbrew woli tej instytucji jaskrawie mija się z prawdą, gdyż w istocie uczynił to na wyraźne życzenie; pomińmy chęć podważania zaufania do P. U. W. F. i do Z. Z. ze strony szerokich sfer społecznych, pomińmy wręcz niesłychane i absolutnie niedopuszczalne kwestjonowanie autorytetu Z. Z., a nawet otwarte groźby, że jeśli Zarząd Z. Z. nie będzie pisał swych komunikatów pod dyktando szkodników sportowych i nie będzie pochwałał ich ekscesów — to na najbliższych wyborach go utracą! Zostaje jeszcze kapitalny dowód, iż nie w dobrych zamiarach o „niebezpieczeństwie” pisano, miano-

wicie stwierdzenie, iż rady i wskazówki Z. Z., dążące do poprawy stosunków w klubach, uznane zostały za zgubne!

Jeśli to, czego wymaga Z. Z., jest „niebezpieczne” to cóż zalecić im chce pismo krakowskie? Sądząc z oburzenia, jakie wywołały wymagania Z. Z., „Ilustrowany Kurjer Codzienny” pragnąłby prawdopodobnie rzeczy dyametralnie przeciwnych. A więc chciałby:

„1) by treningi i zawody wewnętrzne klubów odbywały się bez nadzoru instruktora celem ułatwienia młodzieży przetrenowania, zbytecznego trwonienia czasu oraz przestrzegania niepoprawnego i nieetycznego zachowania się na boiskach.

2) tępienia zmysłu przyjemności w sporcie i zwalczania poczucia potrzeby uprawiania codziennie ćwiczeń cielesnych

3) rozwijania tendencji pseudo-amatorstwa,

4) zaniechania kierunku wychowawczego celem ułatwienia wypaczania charakterów przez sport,

5) odrzucenia opieki lekarskiej,

6) wywierania wpływu na związki okręgowe i kluby sportowe w kierunku przekreślenia współpracy z okręgowymi urzędami oraz ośrodkami w. f., powiatowymi i wojewódzkimi komitetami w. f. i p. w.”

Hołdowanie takim poglądom byłoby nonsensem tak oczywistym, iż nawet autorów wypocin krakowskich nie wolno posądzać, by chcieli się wyraźnie pod nimi podpisać. Co jeszcze raz dowodzi, iż tylko dla niewyraźnych celów szkłowali oni Z. Z. i P. U. W. F., krytykowali z taką zjadłością i z zastosowaniem tak niesympatycznych metod ich rozsądne, słuszne i pożyteczne poglądy i poczynania.

„Ilustrowany Kurjer Codzienny” oburza się, że Z. Z. do puścił się „krytyki szkodliwej i w wysokim stopniu niezasłużonej”. Co wtedy powiedzieć o krytycznych wystąpieniach „Ilustrowanego Kurjera” stającego się oficjalnym rzecznikiem mętów sportowych i klubowego bandytyzmu? Powiedzieć chyba tylko, że Związek Związków jeszcze za oględnie się wyraża i nie zdaje sobie sprawy, jak dalece rozszerzyła się zgnilizna moralna i jak głęboko zakorzeniło się w sporcie polskim kultywowanie brudu!

Wiktor Junosza-Dąbrowski.



Łuczniczki z zamięłowaniem uprawiane w szkołach amerykańskich żeńskich.

BILANS STRZELECKICH MISTRZOSTW ŚWIATA

Biorąc pióro do ręki by pisać o odbytych we Lwowie międzynarodowych zawodach strzeleckich, trudno wyrzec się chęci zajęcia się przedewszystkiem pytaniem jak nam się powiodła ta pierwsza wielka strzelecka próba w skali światowej.

Zbyt duże przywiązywaliśmy znaczenie do powodzenia tej imprezy, by móc zająć się wynikami zawodów zanim damy sobie odpowiedź na to pierwsze pytanie. Gościliśmy strzelców 16 narodów, a na kongres przybyli delegaci 18 krajów. Sport strzelecki w stopniu znacznie większym od innych posiada ogólne znaczenie, a my dotąd wlekleśmy się na szarym końcu strzeleckiej kolumny świata. We Lwowie za jednym zamachem mogliśmy wszystko odrobić i „postawić się” jak na wielki naród przystało.

Czy udało się nam to?

Nie ulega wątpliwości, że — tak!

Zarówno organizacyjnie, jak i sportowo zawody lwowskie były naszym sukcesem. „Zagranicą” brakło słów uznania dla naszej gościnności, a strzelania, pomimo mniejszej ilości stanowisk niż na innych strzelnicach, gdzie poprzednio odbywały się zawody — „funkcjonowały” bez zarzutu.

Gen. Ackerman, prezes strzelców szwedzkich i wielka figura w swym kraju miał się wyrazić, że choć Szwedzi znani są z organizacji zawodów, we Lwowie szło wszystko nawet lepiej niż 2 lata temu w Sztokholmie, a rodak jego kierownik zespołu szwedzkiego, kpt. Victorin, oświadczył, że Polska pobiła jeden rekord — rekord organizacji zawodów. Szef ekipy szwajcarskiej na odjeździe powiedział krótko: „Szwajcarzy są zadowoleni!” Świat strzelecki dobrze wie, jak trudno dogodzić „królom strzelców”.

Na organizacyjne powodzenie zawodów złożyła się żmudna praca komitetu organizacyjnego, komisji sędziowskiej, oraz licznego personelu strzelnicy, złożonego z podoficerów lwowskich pułków oraz kadetów. Sukces w tej dziedzinie był plonem dwutygodniowej pracy paruset ludzi, oraz wielomiesięcznej pracy przygotowawczej kilkunastu osób.

Wszyscy zasłużyli sobie na uznanie, tembardziej, że zawody lwowskie jaskrawo odbijały od zeszłorocznych mistrzostw organizowanych przez Belgów, które pozostawiły wiele słuszných pretensyj i żalów.

A sportowo?

Sportowe wyniki zawodów również są naszym niezaprzeczoną sukcesem i wskazują na wielki postęp naszego strzelectwa.

Biuro prasowe zawodów, które rozsyłało komunikaty stertami, ale niestety podawało informacje czysto sportowe ze znacznym opóźnieniem i w formie chaotycznej, często bezwartościowej, obwieszcza, że Polska w ogólnej klasyfikacji zajęła drugie miejsce za Szwajcarią, a przed pozostałymi 14 narodami ze Szwecją i Finlandją na czele. Ba, nawet w ostatnim swym komunikacie pisze, że ostateczne obliczenie wyników „po raz pierwszy w historii strzeleckich mistrzostw świata wysunęły na plan pierwszy Polskę”.

Otóż takie bałamucenie opinii jest prawdziwą krzywdą dla naszego strzelectwa. Należało raczej rzeczowo oświetlić istotny wielki postęp naszego strzelectwa, a nie głośić dowolnie wykoncypowane rzeczy nie mających nic wspólnego z rzeczywistością. Wszak obalamucona w ten sposób opinia w przyszłości będzie miała pretencję do strzelców, że nie utrzymali się na wyżynie, na której w rzeczywistości jeszcze nie zagościli.

Nasze strzelectwo, które rzetelnie pracuje i rzetelnie czyni postępy nie potrzebuje takiej reklamy.

Postaramy się wyjaśnić nieporozumienie.

Dwutygodniowe strzelania lwowskie składały się z kilku odrębnych zawodów, które zapobiegliwość i energja organizatorów zdołała skupić w jednym czasie i miejscu.

Miały tam miejsce następujące zawody: 1) Strzeleckie mistrzostwa świata, organizowane na zlecenie Międzynarodowej Federacji Strzeleckiej. Obejmowały one związane z walką o tytuły mistrzowskie strzelania z karabinu wojskowego, dowolnego, małokalibrowego i pistoletu dowolnego, razem 12 mistrzostw indywidualnych i 5 konkurencyj zespołowych. 2) Międzynarodowe zawody strzeleckie dla członków Federacji, ale niezwiązane z tytułami mistrzowskimi. Obejmowały one strzelania z tych samych broni, co zawody główne o mistrzostwo oraz z wojskowej broni krótkiej, razem 22 konkurencje, w czem 2 zespołowe. 3) Myśliwskie mistrzostwa Europy i świata, organizowane na zlecenie Międzynarodowej Federacji dla strzelców z broni myśliwskiej. Obejmowały one strzelania z broni kulowej i śrutowej, razem 4 strzelania indywidualne i 4 zespołowe. 4) Myśliwskie zawody międzynarodowe z tej samej broni, ale nie związane z tytułami mistrzowskimi. Obejmowały one 2 strzelania seryjne z broni kulowej oraz strzelania „pulowe” z broni śrutowej. 5) Łuczne zawody o mistrzostwo świata, organizowane przez Polski Zw. Łuczny. Obejmowały one trzy konkurencje, w tem jeden trójbój indywidualny i jeden zespołowy. 6) Łuczne zawody międzynarodowe nie związane z tytułami mistrzowskimi. Obejmowały one strzelania seryjne i o odznakę.

Jak z tego widać impreza lwowska składała się z trzech kategorii zawodów: z broni wojskowej i sportowej, z broni myśliwskiej i z łuku, a każda z nich rozpadała się na strzelania o mistrzostwo i zwykle międzynarodowe.

Rzecz prosta zsumować wynik można, ale wartość ich jeset tak niewspółmierna, że rezultat wypadnie najzupełniej dowolny i nic nie mówiący.

Mistrzostwa w broni wojskowej i sportowej odbywają się już od 1897 r. i we Lwowie zgromadziły coś około 200 zawodników, reprezentujących kilkanaście narodów. Sprawa mistrzostw myśliwskich jest dosyć — nie uregulowana, bowiem w r. b. obok mistrzostw we Lwowie odbywały się również mistrzostwa Europy w Helsingforsie. We Lwowie strzelania myśliwskie zgromadziły kilkudziesięciu zawodników kilku narodów, przyczem jednak na stanowiskach byli istotnie najznakomitsi przedstawiciele tej kategorii strzelców. Wreszcie łucznicze mistrzostwa organizowane były poraz pierwszy, miały charakter pionierski, zgromadziły dwudziestu paru łuczników kilku zaledwie narodów.

Trudno więc stawiać w jednej płaszczyźnie sukcesów w strzelaniach z łuku ze zwycięstwami w broni dowolnej na przykład, w której trzydziestoparoletnia rywalizacja wywinowała wyniki na wyżynę doskonałości, a we Lwowie współzawodnictwo dziesiątków pierwszorzędných zawodników stworzyła ostrą konkurencję.

To też przy całym uznaniu dla naszego mistrza świata w łucznictwie p. Sawickiego, trudno bez narażenia się na dysproporcję zestawiać w jednej płaszczyźnie jego zwycięstwa ze zwycięstwami np. Zimmermana w broni dowolnej, czy wojskowej.

I na tem polega właśnie nieporozumienie, jakie za przewodnictwem Biura Prasowego zawodów zapanowało na łamach prasy polskiej.

Zsumowano wszystkie zdobyte przez poszczególne narody tytuły mistrzowskie i powiedziano: Polska z 4 tytułami mistrzowskimi zajęła 2 miejsce za Szwajcarią, a przed Francją, Szwecją, Norwegją, U. S. A., Finlandją i Anglią, chociaż nawet nie wszystkie te kraje uczestniczyły w strzelaniach myśliwskich i łucznych, w których wypadły nasze sukcesy, a przeważnie wyprzedziły nas w broni wojskowej i sportowej.

Pomijając już fakt, że obok zdobycia tytułów mistrzowskich należałoby wziąć pod uwagę przy próbie klasyfikacji również i dalsze czołowe miejsca, co już znacznie pogorszyłoby naszą pozycję, sprzeciwić się trzeba bałamutnemu zniwelowaniu wyników trzech różnych mistrzostw.

Rozpatrzmy więc nasze wyniki w płaszczyźnie poszczególnych mistrzostw.

W zawodach łucznych zdobyliśmy przez p. Sawickiego mistrzostwo w trójboju, a przez p. Kurkowską drugie miejsce, zesepołowo ustępując Francji, zaś w narodowym naszym strzelaniu do „kura” oddając trzy pierwsze miejsca szwedowi, francuzowi i Czechowi.

Największe nasze sukcesy wypadły w strzelaniach myśliwskich. W strzelaniu z broni śrutowej do rzutków polak Kiszkurno zdobył mistrzostwo Europy i świata bijąc poprzedniego mistrza Lumnicera (Węgry) i rekordzistę świata Baumgartena (Austria). W strzelaniu z broni kulowej do jelenia zdobyliśmy zespołowe mistrzostwo świata przed przodującą w tem strzelaniu od 12 lat Norwegją. W ten sposób z 6 będących tu w grze tytułów mistrza świata i 2 Europy Polska zdobyła 2 mistrzostwa świata i 1 Europy wobec 2 mistrzostw świata zdobytych przez Amerykę oraz po 1-nym przez Norwegję i Austrię, wreszcie 1 mistrz. Europy przez Węgry. Gdyby wziąć pod uwagę nietylko zdobyte mistrzostwa, ale i czołowe miejsca — pozycja nasza osłabłaby, w każdym jednak razie w tej kategorii strzelań odnieśliśmy wielki sukces zdobywając sobie stanowisko — potęgi myśliwskiej.

Inaczej było w strzelaniach z broni sportowej i wojsk

Zdobyliśmy tu jedno jedyne mistrzostwo w strzelaniu z karabinu wojskowego z postawy stojącej przez plut. podch. Matuszaka. A w grze było jak już zaznaczaliśmy 12 tytułów mistrzowskich i 5 konkurencyj zespołowych.

W strzelaniu z karabinu dowolnego zajęliśmy 8 (i ostatnie) miejsce, w strzelaniu z karabinu małokalibrowego zajęliśmy dwa 7 (i ostatnie) miejsca i jedno 5 miejsce, wreszcie w pistolecie dowolnym 5 (i przedostatnie) miejsce.

Jedno mistrzostwo i taki bilans strzelań zespołowych nie upoważnia do roszczenia sobie pretensyj do czołowego stanowiska w 28 Mistrzostwach Świata, które stanowiły trzon zasadniczą część międzynarodowych zawodów lwowskich.

Bilans zawodów głównych o mistrzostwo świata dla członków Międzynarodowej Federacji Strzeleckiej (rozegranych w nieobecności zeszłorocznego zespołowego zwycięzcy w broni dowolnej — U. S. A.) dał: Szwajcarji 5 mistrzostw indywidualnych i 2 zespołowe zwycięstwa, Finlan-

dji 2 mistrzostwa i 2 zespołowe zwycięstwa, Francji 3 mistrzostwa, Szwecji 1 mistrzostwo i 1 zwycięstwo zespołowe i Norwegji i Polsce po 1 mistrzostwie. To już jest bardziej zbliżony do rzeczywistości miernik sił.

Więc niepowodzenie?

Nic podobnego, sukces wielki, ale jeszcze nie zdystansowanie skandynawów czy nawet Francuzów.

Na czem polega wobec tego nasz sukces?

Dotąd mówiąc szczerze na międzynarodowym terenie strzeleckim nie odgrywaliśmy żadnej roli. Zadawaliśmy się ostatnimi miejscami w strzelaniach zespołowych i giniliśmy w szarym tłumie indywidualnych zawodników. Gdy któremu z naszych strzelców udało się przedrzeć przez ich gąszcz bliżej czoła — uważaliśmy to za wielki sukces, a największym naszym triumfem było zajęcie przez Ruteckiego 3 miejsca na małokalibrowych mistrzostwach Europy w Berlinie w 1929 r.

Tym razem oprócz zdobytego przez plut. Matuszaka mistrzostwa z karabinu wojskowego cały szereg naszych zawodników uplasował się na bliskich czoła miejscach, a np. Rutecki zajął 6 miejsca w ogólnej klasyfikacji strzelania z karabinu dowolnego, w którym zawsze byliśmy najstabsi.

Nawet nasze ostatnie miejsca w strzelaniach zespołowych wyglądają inaczej niż w latach poprzednich.

Tak np. w zespołowym strzelaniu z karabinu dowolnego w 1927 r. w Rzymie mieliśmy 4.400 pkt., obecnie 5.153. Poprawa wynosi 753 pkt. W Rzymie byliśmy za zwycięzcami o 979 pkt., obecnie choć padł rekord światowy — tylko o 339 pkt. i pomimo bardzo wysokiego w tym roku poziomu tego strzelania Francja, która zajęła przedostatnie miejsce, wyprzedziła nas tylko o 21 pkt., gdy poprzednio różnica wynosiła setki punktów.

Pozatem w strzelaniach o odznaki mistrzowskie zdobyliśmy szereg odznak złotych i dziesiątki odznak srebrnych i brązowych, przyczem w karabinie wojskowym jedyne odznaki złote zdobyli polacy Golański i sierż. Dąbrowski, bijąc szereg strzelców szwajcarskich i skandynawskich. Nadto wygraliśmy wszystkie wprowadzone przez nas do programu strzelania szybkie oraz strzelania seryjne.

Były to konkurencje drugorzędne, częściowo niepopularne, a nawet — nieznane w innych krajach, goście gorzej byli do nich przygotowani, a do niektórych nie stawiali czołowi strzelcy, tem nie mniej zwycięstwa nasze były bardzo cenne, gdyż jeszcze dwa lata temu nie stać nas było na nic.

Specjalnie zaś zasługuje na uwagę zwycięstwo w strzelaniu z pistoletu t. zw. „Olimpijskim”, dobrze znanym w innych krajach. Pokonaliśmy tu szereg doskonałych strzelców z tegorocznym mistrzem świata Kreelem (Czech.) i wielokrotnym mistrzem świata dr. Schnyderem (Szwajc.).

Zrobiliśmy wielkie postępy, podciągnęliśmy się do dobrego poziomu europejskiego, jesteśmy na dobrej drodze do dalszych sukcesów.

Ale na miłość boską, nie wmawiajmy w nikogo, że wyprzedziliśmy już Szwedów i Finów i wysunęliśmy się na czoło strzelectwa światowego.

Na to potrzeba jeszcze dużo pracy...

J. Szyszko Bohusz.

PAMIĘTAJCIE

PAMIĘTAJCIE

O FUNDUSZU OLIMPIJSKIM

Konto czekowe w P. K. O. 7498.

Na czekach prosimy dopisywać „Na Fundusz Olimpijski”.



Pierwsza od lewej, reprezentacja pływacka Polski na Mistrzostwach Europy w Paryżu.

NA MARGINESIE WYPRAWY HAZENISTEK DO CZECH

Hazena, najmłodsza z gier, pierwsza doczekała się zaszczytu nawiązania kontaktu z zagranicą. Zasługiwała na to ze względu na swą bezwzględna wartość sportowo-wychowawczą, a następnie dzięki temu, że jest ona najważniejszą i największą grą kobiecą, odpowiadającą footballowi męskiemu.

Hazena jest wytworem męskim. Uprawiana w Czechosłowacji od zgorą 25 lat cieszy się tam ogromną popularnością, tak wśród mężczyzn jak i kobiet. Jugosławia i Polska, w myśl zasad solidarności, mając do wyboru niemiecką piłkę ręczną, albo czeską hazenę — wybrały grę słowiańską. I nic nie straciły, a przeciwnie zyskały, gdyż hazena przedstawia znacznie większą wartość pod każdym względem niż hand-ball.

W r. 1929 P. Z. G. S. chcąc podkreślić znaczenie hazeny, chcąc podnieść jej autorytet i zwiększyć popularność, a przede wszystkim pragnąc pokazać w Polsce jaknajlepszy wzór do naśladowania — sprowadził do Warszawy reprezentacyjną drużynę Czechosłowacji. Przeciwstawił jej zespoły Warszawy i Łodzi, dwu najstarszych i najsilniejszych ośrodków hazeny w Polsce. Czeski wygrały bez trudu z Łodzią 10:0, a z Warszawą 15:2, demonstrując nadzwyczajną grę. Klęski te zrobiły swoje: hazenistki nasze, mając tak skuteczną lekcję w pamięci, nabyły zapas spostrzeżeń i nauki zużytkowały w gorącej i usilnej pracy. Dzięki spotkaniu międzynarodowemu hazena została uznana przez sportowe społeczeństwo za sport samodzielny, poważny, stojący na pewnych nogach, przestała być zabawą, pobłażliwie tolerowaną. Od tego momentu datuje się jej żywiołowy rozwój w Polsce.

W następnym roku przejawily inicjatywę już w tym kierunku i kluby. Mianowicie stołeczna Polonia, z okazji

pięciolecia swej pierwszej w Polsce drużyny hazeny, sprowadziła praską Victorię Žižkov. Czeski znowu wygrały, z AZS 6:3 i Polonią 8:2, ale panie nasze wykazały już duży postęp i obycie się z prawdziwą hazeną, a przede wszystkim w bezpośrednim zetknięciu się z przedstawicielkami najwyższej klasy czeskiej — doszły do przeświadczenia, że nie święci garnki lepią... Liczne spotkania, mistrzostwa okręgowe i Polski przyczyniły się do podniesienia poziomu.

Na jesieni tegoż roku przypadały III Światowe Igrzyska Kobiety w Pradze, których program przewidywał hazenę z udziałem reprezentacji Czechosłowacji, Jugosławii i Polski. Drużyna polska była przygotowywana bardzo długo i starannie na specjalnym obozie na Bielanych, ale, jak się później okazało, nieudolnie. Nie umiano przygotować i uodpornić psychicznie. To też, gdy przyszło do momentu decydującego, po przykrych porażce 2:9 z Jugosłowiankami, nastąpiła katastrofa: na meczu z Czechosłowacją Polki załamały się kompletnie i przegrały haniebnie 0:17, budząc litość swą grą.

Klęska ta była wielką krzywdą i niesprawiedliwością wyrządzoną naszej hazenie. Poderwała do niej szacunek i zaufanie naszego społeczeństwa i do pewnego stopnia wstrzymała dalszy, normalny jej rozwój w Polsce. Na szczęście okres depresji nie trwał długo. Już na wiosnę bieżącego roku Polonia odważyła się na niezwykle śmiały, wprost zuchwały czyn, mianowicie na wyjazd do Czechosłowacji, i to nietylko na rewanż z Victorią Žižkov, ale na formalne tournée. Ryzykowny ten krok udał się nadspodziewanie. Polonia, wicemistrz okręgu warszawskiego, przegrała po równorzędnej, bohaterskiej walce dwukrotnie 3:5 z Victorią i z Mledobolëslavskym S. K. mistrzem pra-

skiej żupy, najsilniejszej czeskiej drużynie, S. K. Mielnikowi uległa 2:11, a na koniec z Sokołem-Vinohrady, zdobywcą trzeciego miejsca w mistrzostwach praskiej żupy, uzyskała wynik 2:2!

Te nieoczekiwane sukcesy warszawskiej drużyny uczyniły wyłom w utartych poglądach sportowej naszej opinii i znowu zwróciły ogólne zainteresowanie na hazenę. Nowej okazji dostarczyła ostatnio wyprawa do Czechosłowacji na rewanż wspólnej drużyny Łodzi i Warszawy (jako, że dwu oddzielnych, z powodów natury finansowej, nie można było wysłać). Przygotowania poczyniono bardzo starannie, choć w skromniejszym, niż rok temu, zakresie. Utartym zwyczajem zorganizowano obóz na Bielanach, ale zaledwie jednotygodniowy. Jednak spełnił on swe zadanie, mimo nawet, że Czesi w ostatniej chwili przesunęli termin zawodów o tydzień, tak, że zakończenie obozu wypadło już na dwa tygodnie przez wyjazdem do Czech. Zorganizowano treningi, które utrzymały nasze reprezentantki w formie, a następnie urządzono dwa mecze treningowe. Pierwszy, w Warszawie, z komb. AZS z wynikiem 4:3 nie budził optymistycznych nadziei, gdyż reprezentacja grała wręcz słabo, natomiast drugi, rozegrany w dniu wyjazdu, w Łodzi, wykazał bardzo dobrą formę drużyny. Zwycięstwo 9:2 nad osłabioną coprawda nieco reprezentacją Łodzi natchnęło nasze zawodniczki wiarą we własne siły i wpłynęło bardzo dodatnio na samopoczucie.

Pierwszy mecz w Pradze, rozegrany pod firmą „Łodzi”, jak chcieli Czesi, z drugą reprezentacją tego miasta przy-

niósł krzywdzący dla Polski wynik 4:4. Mimo dość chaotycznej, z powodu niezgrania, gry, mimo słabej formy ataku, nasze zawodniczki były zespołem lepszym.

W drugim dniu grały Polki jako „Warszawa” z najsilniejszą drużyną Pragi, identyczną z reprezentacją Czechosłowacji. Tym razem pracowały spokojniej, skuteczniej, lecz ponieważ miały okoliczność z niezmiernie silnym przeciwnikiem — uległy z honorem 1:5.

Trzeci mecz rozegrany w Mielniku z Mielnikiem był najpiękniejszym spotkaniem polskiej hazeny od początku jej istnienia. Drużyna Mielnika była bodaj, że jeszcze silniejsza, dzięki zgraniu, od siódemki praskiej, a mimo to grały z nią Polki jak równe z równymi, ulegając zbyt wysocko 4:9.

Wyniki te, uzyskane po ciężkiej i długiej podróży, w trzech spotkaniach rozgrywanych kolejno dzień po dniu na obcym, nieznanym terenie, przy obcych sędziach i publiczności, w czasie zimna, wiatru i deszczu — są pierwszorzędnym sukcesem dla naszych zawodniczek, całkowicie rehabilitującym je za zeszłoroczną klęskę. Hazenistki polskie wykazały, że nie ustępują swym siostrzycom z innych sportów, że mając więcej niż one do odrobienia w stosunku do zagranicy — wyrównały już różnicę poziomów i znajdują się w przededniu odnoszenia zwycięstw.

Rozwój polskiej hazeny znajduje się znowu na dobrej drodze postępu.

Wiktor Kwast

RYWALE NURMIEGO KUSOCIŃSKI I PETKIEWICZ

odslaniając rąbek tajemnicy swych sukcesów
wskazują niezawodną drogę do zwycięstw i rekordów

Pozatem mówią o sobie i swej pracy sportowej

Tłoczyński, Bocheński, Konopacka, Głon, Bułanow, Stefański, Michalak, Szamota, Br. Czech, Staszek Polankowa i kilkudziesięciu innych czołowych naszych sportowców

w ciekawej i pouczającej książce

„DJETYKA W SPORCIE”

z przedmową dyr. Państw. Szkoły Higjeny płk. dr. Szulca oraz uwagami dyr. C.I.W.F. płk. dr. Osmolskiego, z-cy dyr. P.U.W.F. i P.W. płk. dr. Krzyskiego, presesa Z.P.Z.S. płk. Ulrycha, prezesa P.K.I.O. płk. Głabisza, wieloletniego b. prezesa P.K.I.O. inż. Znajdowskiego, dr. Mazurka z C.I.W.F. i dr. Szewczykowskiego z Ośrodka W.F.

Barwne opowiadania z karjer sportowych naszych asów.

142 strony

Cena 95 gr.

Wyd. „Dom Książki Polskiej”

Cena 95 gr.

Żądać we wszystkich księgarniach. Na stacjach kolejowych w księgarniach „Ruchu”.



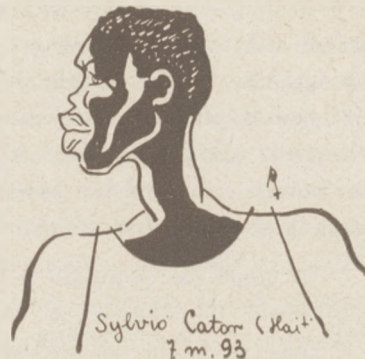
Eddie O. Gourdin (U.S.A.)
7 m. 70



Sol Butler (U.S.A.)
7 m. 70



De Hart Hubbard (U.S.A.)
7 m. 89



Sylvio Cator (Haiti)
7 m. 93

rys. M. de Behault.

CZY KOLOROWI PIERWSI SKOCZĄ OSIEM METRÓW?

Dzieje rekordu światowego w skoku wdal.

Już w r. 1866 skok wdal wprowadzono do programu dorocznego meczu Oxford—Cambridge, i najlepszy rezultat w tym roku osiągnięty wynosił 5 m. 99 cm. W ciągu więc 85 lat posunięto się naprzód o 193 cm.

Do roku 1871 najlepszym znany wynikiem był skok Anglika Mitchella, który w 1868 r. osiągnął 6 metrów. W 1871 roku Davis uzyskał 6 m. 19 cm. Walka tych dwu zawodników dała świetne rezultaty. Rekord skoczył aż do 6 m. 88 cm, dzięki wyczynowi Davisa w 1872 r. Jednocześnie lat trzeba było czekać na dalszy postęp. Gdy Parsons przebył w powietrzu 7 metrów, uznano to za cud.

Lecz w roku następnym pojawili się Amerykanie i Ford uzyskał 7.08 m. W r. 1898 rekord powrócił do Europy, dzięki Irlandczykowi Newburnowi i jego 7.32 m. Znakomity dr. Alvin Kraenzlein skoczył w r. 1899 7.43 m. To nie przeszkodziło mu stać się mistrzem olimpijskim na 110 i 400 m. z płótkami. Drugi wielki Yankee, Prinstein, mistrz olimpijski 1900 r., uzyskał na treningu 7.50 m. Lepszy wynik osiągnął Irlandczyk P. J. O'Connor z 7.54 i 7.61 m. Był to bezprzecnie jeden z najwspanialszych skoczków ery nowożytnej. Był sześć razy z rzędu mistrzem Anglii, skacząc przeciętnie 7.12 i podczas swej dziesięcioletniej kariery piętnaście razy przekroczył 7.25 m.

Na pobicie jego światowego rekordu trzeba było czekać równo 20 lat. W ciągu tego okresu, tylko dwu ludzi zagroziło mu poważnie: Byli to murzyni amerykańscy A. Gutterson, zwycięzca Igrzysk Sztokholmskich z 7.60 i Sola Butler, który w 1920 r. w Antwerpi skoczył na treningu poprawnie 7.70 m, lecz niestety w przeddzień finału, skacząc ponad 8 metrów, nie utrzymał równowagi i opadając wtył zerwał sobie ścięgna, kończąc raz na zawsze swą sportową karierę. Laur olimpijski zdobył więc pewien Szwed z nienadzwyczajnym rezultatem 7.15 m.

Butlera pomścił inny murzyn, student Uniwersytetu w Harvard Ned D'Gourdin, który przekreślił rekord O'Connora, osiągając 7.69 m.

W roku 1924, podczas Igrzysk Paryskich, Amerykanin Bob Le Gendre, który nie został wyznaczony do skoku wdal, uzyskał podczas rozgrywania pięcioboju 7.76 m., czyli o 32 cm. więcej, niż zwycięzca w skoku, znowu murzyn amerykański De Hart Hubbard. Ten się jednak zrewanżował w następnym roku, osiągając 7.89 cm. Ten skok fenomenalny został jednak jeszcze przewyższony, i to jeszcze raz przez murzyna. Sylvio Cator, obywatel Republiki Haiti, przefrunął we wrześniu 1928 roku fantastyczną przestrzeń 7 m. 93,6 cm. Cator, wybitny wielobojowiec,

przebiegał 100 metrów w 11 sek., 110 m. z płótkami w 16 s., 400 m. w 53 s., skakał 183 cm. wwyż, rzucał kulą na 12 m., a dyskiem na 35 m. i był kapitanem narodowej reprezentacji piłkarskiej.

Obecnie, Sylvio Cator zdaje się pożegnał lekkoatletykę na zawsze. Twierdzi on, iż wystarczy mu radość, uzyskana przez pobicie światowego rekordu, tembardziej, iż zrealizowany przezeń w 1929 r. w Port-au-Prince skok 8.03 m. nie został dłaczegoś oficjalnie uznany.

W danej chwili niema na widowni wielu poważnych kandydatów na rekordzistów światowych. Chyba tylko Amerykanin Edward Gordon (oczywiście murzyn), który w roku bieżącym uzyskał 7.60. Jest to piękny atleta o długich mięśniach, o nadzwyczajnej giętkości i sprężystości. W r. 1928 potrafił on podczas tych samych zawodów uzyskać kolejno 10,9 s. na 100 m., 15,8 m. na 110 m., 183 cm. wwyż i 7.35 wdal. Obok niego najgroźniejszymi przeciwnikami rekordu Catora wydają się być Japończyk Nambu, który osiągnął ostatnio 7.67 m. i Amerykanie Boyle (7.63 m.) i Bates (7.50 m.).

By ten krótki szkic był możliwie zupełny, należy parę słów poświęcić wyczynom, które wprawdzie nie zostały zanotowane oficjalnie, lecz niemniej zasługują na wyróżnienie.

Pierwszym skokiem, dokładnie wymierzonym, był dokonany w 1833 roku wyczyn amerykańskiego zawodowca Ben Harta, który skoczył wtedy 7.15 m. W 1853 r. inny zawodowiec amerykański, Howard, osiągnął... 9.014 m. Ale posługiwał się dwoma 2-kilowemi ciężarkami. Wypuszczone podczas lotu w powietrzu, dawały nowy rozpęd. Była to zresztą metoda starożytnych Greków; nie więc dziwnego, że pisarze starożytni wspominają o skokach 9 i 10-metrowych.

Tak czy owak, przestrzeń ośmiometrowa wcześniej czy później zostanie oficjalnie skokiem przebyta, i zanoszą się wyraźnie na to, iż wyczyn ten nieprawdopodobny wykonany zostanie przez kolorowego człowieka.

Maurice de Behault.

Kostjumy i pantofle gimnastyczne przepisowe i trwałe. Przybory do sportu. Gry drużynowe. Drabinki, ławki szwedzkie, konie, kozły i t. p. wykonane p/g przepisów Min. W. R. i O. P.

„START“ Składnica sportowa, Warszawa
Chmielna 26 tel. 295-96.

Żądajcie cenników.

TERENY SPORTOWE W DRUSKIENIKACH

Propaganda wychowania fizycznego i sportu, prowadzona od kilku lat przez czynniki urzędowe i społeczne, wywarła ogromny wpływ na popularyzację tych zagadnień zarówno pośród miłośników ćwiczeń cielesnych i rozrywek ruchowych, jak pośród ludzi, którzy w. f. i sportem nie interesowali się wcale lub nawet ustosunkowali się wobec tych zagadnień mniej lub więcej nieprzychylnie.

W ciągu zaś ostatnich 2—3 lat ćwiczenia cielesne i sport wkroczyły triumfalnie na tereny uzdrowisk, przyczyniając się znakomicie do ich reklamy i rozwoju.

Zarządy poszczególnych uzdrowisk polskich jak np. Zakopanego, Krynicy a ostatnio Ciechocinka — w poszukiwaniu sposobów na zwabienie gości sezonowych — wpadły na pomysł, zapożyczony zresztą z zachodu, udostępnienia tych uzdrowisk nie tylko dla ludzi chorych, poszukujących na lekarstwa swe dolegliwości i choroby, lecz również dla ludzi zdrowych, potrzebujących jedynie wypoczynku i rozrywki.

Poszczególne uzdrowiska podjęły budowę różnorodnych — nieraz nawet b. kosztownych urządzeń sportowych — udzielając chętnie pomocy organizacjom sportowym w propagowaniu sportu oraz w urządzaniu wielkich imprez sportowych. Na rezultaty nie trzeba było długo czekać. Dość zwrócić uwagę na ogromnie szybki rozwój Zakopanego i Krynicy, które dzięki organizowanym tam corocznie zawodom narciarskim i hokejowym zyskały sobie zarówno w kraju jak zagranicą sławę znakomitych terenów sportowych. Nie ulega wątpliwości, że oba te uzdrowiska w miarę dalszej ich rozbudowy idącej po linii nadania im charakteru i warunków, jakie posiadają dziś słynne zagraniczne stacje klimatyczne — z czasem będą ściągały tłumy turystów i sportowców zarówno z całej Polski jak z zagranicy.

Przed kilku tygodniami jedno z pism sportowych podało wiadomość, że Ciechocinek, który zdawał się już zamierać, przyćmiony rozgłosem innych, bardziej umiejętnie reklamowanych uzdrowisk — zdecydował się na rozbudowę wielu nowoczesnych urządzeń sportowych jak stadiony lekkoatletyczny i pływakki, oraz boiska i place do tenisa, siatkówki, koszykówki i t. p. Tęgo rodzaju europeizacja Ciechocinka przywróci mu niewątpliwie dawną popularność — a miłośnikom ćwiczeń cielesnych i sportu da możliwość zaspokojenia swych zamiłowań sportowych w czasie letniego wypoczynku.

Poruszając zagadnienia usportowienia naszych miejscowości uzdrowiskowych mam na celu zwrócenie uwagi zarówno miłośników ćwiczeń cielesnych i sportów jak czynników miarodajnych na jedno z najmilszych i najbardziej swojskich uzdrowisk, które pomimo swych wielu zalet pozostało do dnia dzisiejszego mało znanym kopcuszkiem.

Druskieniki.

Uroczy zakątek, położony przy ujściu rz. Rotniczanki do Niemna, znany ogółowi ze zwyczajnych źródeł i kąpeli leczniczych. A najmniej znany tym, których powinien niewątpliwie najbardziej pociągać t. j. turystom i sportowcom oraz ludziom pracy, pragnącym miłego, pogodnego wypoczynku, urozmaiconego przemiłym swoistym krajobrazem cichego zakątka, ukrytego przez naturę pośród malowniczych rzek, jezior i lasów.

Pośród wielu przyczyn zapoznania przez szeroki ogół Druskienik, jako miejscowości wypoczynkowej i turystyczno-

sportowej, jedną z ważniejszych jest fakt, że wszystkie dotychczasowe zarządy Druskienik nie wysiłały się zbyt na należyte rozreklamowanie ich.

Powodując się swoim osobistym upodobaniem Druskienik, w których już od trzech lat z rządu spędzam swoje urlopy wypoczynkowe, pragnę zapoznać czytelników z urokiem Druskienik jako miejscowości wypoczynkowej i turystyczno-sportowej.

Urozmaicone szeregiem precudownych jezior — Druskieniki są przede wszystkim ogromnie ciekawym terenem dla turystów-wodniaków. Liczne jeziora, powiązane ze sobą rzeczkami, nadającymi się w zupełności do jazdy na kajaku, tworzą łącznie z Niemnem zamkniętą, kolistą trasę wodną nie następczącą żadnych specjalnych trudności w żegludze, a przytem ogromnie ciekawą i bodającą dotychczas przez nikogo nieprzebytą.

Trasa ta ma połączenie z Wisłą przez Narew i kanał Augustowski. Od kanału Augustowskiego idzie z biegiem Niemna, aż do ujścia Rotniczanki. Dalej w górę rz. Rotniczanki, aż do jej źródeł, t. j. do jez. Łot. Stąd przez rz. Kusienkę do jez. Porzeczce i dalej do jez. Mołotniewo, następnie przez rz. Chomuty do jez. Białego i do jez. Rybnickiego. Stąd wreszcie rz. Pyra do rz. Kotry, która z kolei wpada do Niemna przy wsi Komatowo t. j. około 20 km powyżej Grodna.

W samych Druskienikach znajduje się przystań wioślarska filji Wojskowego Klubu Wioślarskiego „Grodno“. Ponadto na kilku najbliższych jeziorach (jez. Druskonis, jez. Łot, jez. Ilgis) znajdują się przystanie i łodzie Tow. Przyjaciół Druskienik. Nad jez. Łot znajdują się schroniska, mogące dostarczyć noclegu dla kilkunastu osób. Wszystkie te jeziora nadają się całkowicie do uprawiania wioślarstwa i żeglarstwa.

Tyle o terenach dla sportów wodnych.

Bogate i rozległe urządzenia boiskowe znajdują się na terenach t. zw. kąpeli powietrzno-słonecznych, stanowiących jeden z działów leczniczych, podlegających kierownictwu Zarządu Zdrojowego.

Inicjatorką i organizatorką tego działu lecznictwa, oraz założycielką dzisiejszych kąpeli powietrzno-słonecznych była zmarła niedawno, znakomita działaczka na polu w. f. s. p. dr. Eugenia Lewicka. Z niczego nieomal, przy minimalnych środkach pieniężnych i technicznych — walcząc z wielu trudnościami — stworzyła s. p. dr. Lewicka liczne urządzenia boiskowe, malowniczo rozrzucone na 5 ha starego, sosnowego lasu. Stworzyła nowoczesną kuźnię zdrowia, która jest w stanie przywrócić siły i zdrowie ludziom chorym i przemęczonym, służąc równocześnie za miejsce miłych i zdrowych rozrywek dla ludzi zdrowych, miłujących słońce, przyrodę i ruch.

kpt. M. Turowski.

JESZCZE O ORGANIZACJI SPORTU POLSKIEGO

W związku z artykułem p. Wiktora Kwasta, umieszczonym w poprzednim numerze, otrzymaliśmy list następujący, który z całą gotowością drukujemy, uważając, iż poruszona sprawa zasługuje na jaknajszersze i wszechstronne omówienie.

W numerze 28 „Stadjonu” ukazał się artykuł p. W. Kwasta, usiłujący skrytykować — może nawet wypaczyć — inicjatywę Lwowskiego Koła P. Z. Dz. Sport., które rozpiśało ankietę na temat: „Jak przeprowadzić reformę obecnego ustroju organizacyjnego polskiego sportu, przyjmując za podstawę bezwzględna konieczność zmniejszenia ilości sportowych organizacji okręgowych”, a ponieważ nie sądzę, by Koło jako takie chciało się wdawać w dyskusje na ten temat, poczuwam się do obowiązku jako jego członek zarządu wyjaśnić te momenty, które p. K. wydały się niejawnymi.

Myśl rozpisania ankiety na temat reorganizacji sportu polskiego i zebrania w ten sposób materiału do dyskusji (pozostawiając ostateczną reformę władzom sportowym do tego powołanym) została rzucona już dawno, a złożyły się na nią te wady, które dla każdego są widoczne i których istnieniu nawet p. K. nie zaprzecza. Ogłoszenie jej przyspieszyła depresja gospodarcza, przy której wadliwość ustroju dała się tembardziej odczuć, że niejedyn klub stanął wobec zagadnienia czem opłacić wkładki do zbyt licznych związków sportowych, jeśli kasa klubowa wykazuje pustki, często długie a nawet... protesty wekslowe, niejedyn zaś związek ledwie dysze nie mając grosza na opłacenie najkonieczniejszych wydatków, pomijając zupełny zastój w rozbudowie obiektów sportowych, któreby bez oglądania się na działalność poszczególnych związków umożliwiły dalszą pracę na niwie sportowej.

Gdyby jednak Koło ogłosiło ankietę o zbyt ogólnym temacie np. „Jak zreformować sport polski”, możnaby napisać 5 tomów, niewyczerpując jeszcze tematu, bo prócz bolączek, które Koło wykazało jako „największe w chwili obecnej” istnieje jeszcze tysiące innych, z których Koło narówni z p. K. zdawało sobie sprawę.

Ograniczając temat, względnie „narzucając własne zdanie” jak to chciał nazwać p. K. myślą Koła była rzeczywistość obecnej chwili, a nie blichtr powierzchowności, oraz postawienie sprawy na platformie rzeczowej dyskusji, a nie wiecowej argumentacji zastosowanej przez p. Kwastę.

Idealne myśli, ujęte w górnolotne słowa zawarte w końcowym ustępie artykułu p. Kwasta mogą i winny znaleźć zastosowanie przy dobrze zorganizowanym sporcie; trzeba jednak dyskutować nad nimi w łonie związków niewykazujących żadnej działalności, oraz w gronie ludzi, którym w sprawach tych brak często podstawowych niejednokrotnie wiadomości, nie mówiąc o ich kwalifikacjach organizacyjnych.

Tacy jednak ludzie — którzy często mogą być nawet najlepszymi pracownikami w klubie — zasiadając w związkach są zbyt ciężkim balastem, i oni właśnie z uporem godnym lepszej sprawy starają się utrzymać przy swych mandatach obstając równocześnie przy dotychczasowym systemie tworzenia osobnych związków dla każdej często pokrewnej dziedziny sportu (gry sportowe — palant, hokej na lodzie — na trawie, kolarstwo — motocyklizm, związek strzelecki. — łuczniczy i małokalibrowy i t. d.).

Usunięcie tego niepotrzebnego balastu było głównym celem ankiety, którego p. K. nie mógł, czy też nie chciał zauważyć, lecz na miarę takich właśnie ludzi, którym na mandacie zależy, zamiast — o ile posiada ku temu kwalifikacje — zająć się odpowiedzią na ankietę, wolał w nieproduktywny sposób z nią polemizować.

Wypaczaniem szlachetnych zresztą intencji Koła Lwowskiego P. Zw. Dz. Sport. reformy sportu polskiego nie przeprowadzi — o czym p. Kw. winien wiedzieć, to też cieszyć się tylko należy, że nie wszyscy podzielają wątpliwości poruszone przez p. Kw.; są natomiast tacy, którzy od zarania sportu polskiego pracują nad jego organizacją i ulepszeniem, a dzielają opinię Koła i w duchu przez niego podanym nadesła swe projekty reorganizacji, z lepszym pożytkiem dla dobra sprawy, aniżeli to uczynił artykuł p. Kwasta.

Władysław Rzepka.

WSZYSCY KTÓRZY WPLACA
NA FUNDUSZ OLIMPIJSKI
NIE MNIEJ ŻŁ. 10-ciu
otrzymają BEZPŁATNIE piękny album
„SPORT W POLSCE“

Konto Stadjonu w P. K. O. 7498

Na czekach dopisywać: „Na Fundusz Olimpijski“



Kłosowicz—zwycięzca biegu kolarskiego do Morza Polskiego.

GALERJA GANKOWA

Z turystyki górskiej.

Pierwszy atak na urwisko — nie udał się. Przyznawaliśmy to obaj ze smutkiem, susząc zmoczone spodnie i swetry przy wiatrze w juhaskiej kolebie.

Taka mnie jakaś tęsknota gryść poczyniała, że rozwarłem wrota i siadłem na pniaku przed szafasem.

Gryzła mnie przegrana. Mimowoli podnosiłem wzrok ku górze, gdzie z poza Kaczej Turni, wygląda skrawek wspaniałego tarasu Małego Ganku; dach trzystometrowego urwiska: Galerja Gankowa!

Patrząc w rozdeszczoną czerń nocy, zgadywałem, gdzie poza kotarą mgieł drzemie owa straszna, jedna z najwspanialszych tatrzańskich ścian.

Jak do niej trafiłem?

Było to w skwarne lato roku 1928. Według umówionej kolei Lena została w Morskiem Oku; z Martą powędrowałem na Galerję Gankową.

Pierwszy raz wtedy ujrzałem to obrzymie, gładkie urwisko. I nie my pierwsi — rozczarowaliśmy się. Urwisko, obejrzone zbliska wydało nam się jeszcze groźniejsze i jeszcze wspanialsze niż przedtem, gdy je oglądałem z Wysokiej lub Rysów. Ale droga, która niem wiedzie nie spełniła swego wielkiego zadania.

Lewą poałą ściany przecina potężna depresja. Tamtędy wyszliśmy. Ominęliśmy całe, właściwe urwisko. Droga była dość trudna, nieekspozowana i piękna; piękna dzięki temu, że widać z niej zbliska gigantyczny mur na prawo. Ten mur mrozi swym widokiem krew...

A gdyby tamtędy wdrzeć się na taras?

To było bardzo niedawno. W początkach lipca.

Pod ścianą stanął biały namiot. Ale i na tem koniec. Henryk poszedł na Galerję samotnie; ja obchodziłem urwisko dołem. Zdania nasze były potem podzielone: Henryk uznał, że nowa droga jest niepodobieństwem; zresztą był oszołomiony własnym czynem; ja odkryłem możliwość, a raczej odkryłem jakiś straszny komin, który napełnił mnie nadzieją; nic jednak nie powiedziałem o tem.

Jedna mi myśl przysłała do głowy: tylko w najwyższej „formie” psychicznej i fizycznej, odważę się na atakowanie północnych zerw Galerji.

Czułem się źle. Nasyciwszy oczy widokiem ścian, poszedłem wdół.

Komuś tam wspomniałem o moich marzeniach. Kilka razy pytano mnie potem:

— „Sądziś, że puści?”

— „Sądzę, że nie!” — odpowiadałem.

Ale potem zjawiała się jakaś tajemnicza nadzieja i jakaś szalona chęć zwycięstwa i pewność siebie i...

— „Sądzę, że puści!” — mówiłem wtedy.

Problem wszedł mi w krew. I dzień i noc miałem wypełnione wizją Galerji Gankowej. Przetrawiłem sam siebie; własną duszę, przeraziłem grozą myśli i snów.

Ostatecznie możliwość zdobycia ściany, stała się wielkim znakiem zapytania i nie wiedziałem już co sądzić: puści czy nie? Na resztę stawianych mi pytań odpowiadałem: „może”!

Z tem poszedłem na ścianę.

Było to — pamiętam dzień dokładnie — 12 sierpnia. O świtanu pożegnaliśmy lasy Polany pod Wysoką. Idąc

myślę spokojnie o tem, że północna ściana Galerji Gankowej jest potężnym magnesem, który mnie ciągnie ku sobie i nie w stanie jestem oprzeć się tej sile.

— Jasiu, czy jest tak?

— Nie — odpowiada — twoja wola jest silniejsza od twojego lęku...

Dla mnie ta ściana jest czemś tak bliskim: jakbym jej otchłań niósł w sobie.

— Dla mnie ta ściana jest obca — mówi dalej Jaś — idę z tobą na nią jak trzy dni temu szedłem na Wołową Turnię. Nigdy jeszcze nie widziałem Galerji.

Czeski Staw, a potem brzeg Zmarłego Stawu pod Wagą.

Nad nami Galerja! Patrę na Jasia. Jestem z niej dumny, jakby była dziełem moich rąk.

— Straszliwa — szepczę w ucho przyjaciela. Nie mówi nic. Wiem, że myśli to, co mu mówię.

— W snach nie marzyłem o takim cudzie granitu!

Oczami obiega przewieszane masy urwiska.

— Nie marzyłem...

Ściana kładzie się już przed nami. Stąd, gdzie wiążemy się liną widać jej potężny płytowy łuk. Urwisko wybiega z piargów, mija pion i szalonymi zerwami tarasu przewiesza się — tuż pod niebem! Taką widzimy śmierć nad nami.

— Już?

— Tak! — węzeł liny przesunąłem na tył i wszedłem.

Łatwy, płytowo-piarżysty zachód. Wywodzi w prawo i obrywa się w powietrzu. Stąd ścianka puszcza na skalne bloki i platformę, między niemi.

— Chodź! — wołam.

Echo odpowiada ze ścian Wysokiej, Rysów i Czeskiej Turni: Chodź!! Jaś jeszcze głośniej: „Idę”!!!!

Siedzę na bloku. Lina zbiera się znów przy mnie. Wreszcie jest towarzysz. Siada; przejmuje asekurację; wiele set razy słyszane: „możesz iść”; idę.

Rysa w płytowym pancerzu, potem druga rysa i z odchyleniem w lewo wchodzę do dolnego ujścia potężnego w ścianie komina. Po jeszcze 20 metrach teren łatwy — skończył się. Tu właśnie ściana poczyną rosnać w pion.

Po blisko dwu godzinach siadamy na piarżystym tarasie. Notuję: 2 metry przewieszki (dość trudno); zaklinowany w kominie blok (trudno); kilkadziesiąt metrów wprost w górę; niewielka przewieszka (bardzo trudno)...

A teraz ściana minęła pion i chyli się, stumetrową przewieszką ponad naszymi głowami. Krople wody obrywają się u krawędzi tarasu i pędzą, poza nami, w powietrzu, aby, gdzieś pod nami rozpląnąć się po zerwach płyt. Tu jeszcze raz oglądam węzeł liny, biorę haki, poprawiam młotek na szyi i ściernięty wewnątrz, zastygły, że tylko bicie serca słyszę własnego...

— Możesz iść — pada jako hasło: idę!

Dno czeluści komina przewiesza się mokrą płytą. Rysa, z jej prawej strony, powolutku dźwiga mnie w górę. Ubranie nasiąka wodą, ręce mi marzną na lodowatym granicie. W końcu trzeba się zatrzymać. Tyle mam miejsca, że jedna noga stoi na palcach a czubki palców rąk wciskają się kurczowo w małeńkie pęknięcia skał. Z trudem wbijam hak. I trawersuję w lewo; chcę osiągnąć piarżysty stopień ponad płytową przewieszką komina. Nie pu-

szcza raz. Cofam swój krok, lecz w chwilę, potem nie puszcza znów. I znów.

— W górę też nie puści! — rzucam w podniesione ku mnie oczy towarzysza. A w prawo może? — młotkiem zrąbuje jakiś kamyk z płyty i jest tam teraz chwyt. Uderzona powyżej ścianka ma pusty dźwięk. Chwyt grozi wyrwaniem się. Trawersuję. Słyszę szcęk haków wiszących mi u boku i zgrzyt w strasznym wysiłku zaciśniętych zębów, przez które wyrwa się — jak skowyt czy jęk — coraz to prędszy mój oddech. Nogę zarzucam poza krawędź w prawo. Jest coś; jakby oparcie. Ale na ręce: nic! Przerzucam się; na małym stopieńku łapię równowagę i żyję.

Tu dochodzi Jaś. Wspinam się wyżej. Komin znów nie chce mnie wpuścić. Niema gdzie haka wbić. Przesuwam się w prawo i na gładkiej płycie czuję, że muszę spaść; ale niewolno mi, bo podemną stoi towarzysz, który nie utrzyma mnie ze swego stanowiska; więc, pełen wysiłku, w górę krok i podciągnięcie na małym chwycie a potem skalna półka.

Wbiłem hak. Nerwy rozprężają się na chwilę.

Tu znów dochodzi Jaś. Taternicki wąż pełza urwiskiem do góry.

Ścianka ponad półką trzymała mnie z pół godziny. Skomplikowane wyzyskanie nierówności przewieszonych skał, obliczony z góry każdy ruch i ściankę zrobiłem. W szczelinę wszedł nowy hak. Jasia przeważał plecak i poleciał na linie. Nie groźne, małe wahadło ponad kilkuset metrami otchłani, na której dnie połyskuje, jeszcze bielmem lodu zasnutę, oko Zmartwiałego Stawu. Za chwilę był już przy mnie.

Była godzina 2 popołudniu, kiedy nadbiegł z zachodu potężny, lodowaty dech. Wzgrygnęliśmy się w przemozonych ubraniach ale szedłem dalej i Jaś dochodził do mnie. Wtedy wpadł drugi zimny prąd wiatru i kłęb mgieł porwał kominem w górę. Buchnęła ponad Galerją fontanna mlecznego dymu i niebo ponad nią zniknęło nam z przed oczu. Ale jeszcze wówczas wspinaliśmy się w górę. Coraz wyżej.

Atakowałem olbrzyma, kruchą przewieszkę, kiedy z głuchym łopotem wichury wtargnęła w komin śnieżna kurniawa. Po godzinie uporczywej walki ręce poczęły odmawiać posłuszeństwa. A granit okrywał śnieg i lód.

Zdecydowaliśmy: dostać się na linie do głównego komina i nim atakować spaszty szczytowe. Jadę na przemozonej, odpornej linie i chwytając ją rękoma, nogami zaczepiam o skały i przenoszę cały ciężar ciała w lewo. Takim sposobem robi się jednocześnie: zejście 12 metrów w dół i poziomy trawers 8 metrów w lewo. Jasiowi liny spletały się. Długo trwało jego zejście.

Zimno było dotkliwe i zjawilo się niebezpieczeństwo noclegu. Do rana będą bez żadnych wątpliwości dwa zmarznięte trupy. Trzeba więc jaknajrychlej osiągnąć ten zbawczy taras. Tymczasem komin, gładki, miejscami już obmarza a miejscami ocieka lodowatą strugą wody.

Obaj jesteśmy niemal zupełnie wyczerpani zimnem i trudnościami.

A kurniawa coraz gęściej przywala skały śniegiem.

Zastanawiam się: Jaś się już tak wyczerpał i nie można liczyć na niego; czy mogę wziąć na siebie odpowiedzialność za taternickie zakończenie nieudanej próby? — zdecydowałem się.

Odwrot!

Tak straszliwa była ta otchłań u naszych nóg, nad którą wisały chmury i wirujące płatki śniegu. Trzeba w

nią zejść; trudności wejścia były olbrzymie, jakże więc zejść, kiedy z posiadanych pięciu haków już dwa zostały w urwisku?

— Jaś zjeżdżaj!

Przekroczył krawędź platformy i zniknął w wirującej przestrzeni śnieżnych płatków. Trzy czy pięć razy zawisł mi na linie asekuracyjnej: skurcz w rękach. Jeśli ja dostanę skurczu spadam bez nadziei ratunku. Żaden klucz zjazdowy nie daje się niestety zastosować. Lina okręcona wokół stopy czy kolana, czy w pasie nie porusza się więcej z miejsca: namokła, zeszywniała, kilkakrotnie zwiększona w swym ciężarze — jeszcze teraz poczyna się okrywać cieniutką warstewką lodu.

Rozgrzałem ręce; wychuchałem je, osuszyłem, wypieściłem. Zaraz po paru metrach skurcz. Zębami chwyciłem za linę; jakimś intuicyjnym ruchem zaczepiłem nogą o skałę, na przewieszce z boku komina. Po chwili czuję, że muszę koniecznie zjeżdżać, bo dłużej stać w takiej pozycji niepodobna. Jadę, spadam parę metrów i w ostatniej chwili łapię się z powrotem za linę; trzymam ją mocno a ona sama zaczyna się zsuwać...

— Wyrwałem hak — lecz już w tej samej chwili łapię nadzieję życia; lina szarpnięta naciągnęła się tylko.

Dobrnąłem do platformy. Chwila pobytu na niej rozkłada się na dwie potężne epopeje ludzkiego serca: spojrziałem w górę na dokonany zjazd — to szczęście; spojrziałem w dół na dalszą drogę — to straszne.

Jeszcze około 200 metrów urwiska do piargu. Zjeżdżanie na linie okazało się jeszcze niebezpieczniejsze od zwyczajnego schodzenia.

Taternik tem się różni w takiej chwili od wszystkich innych ludzi, że zamiast skoczyć łbem na dół w otchłań lub jak mówi Jaś „siaść i zwarzować” — schodzi ze spokojem w dół i nie chce wierzyć w żadne „sytuacje bez wyjścia”.

Pod nami dziesięciometrowy przewieszony próg: wbić haka nad nim zajęło pół godziny, założenie na hak li-



Kurs pływacki dla podoficerów, na basenie D. O. K. I przy ul. Łazienkowskiej w Warszawie.

ny i rozwiązanie jej mokrych, zaciśniętych węzłów — godzinę; Jaś schodził pół godziny a ja godzinę — wciąż przez ten sam dziesięciometrowy próg. A potem okazało się, że lina zaczepiła się w haku. Więc Jaś robił mi zdołu przez pół godziny asekurację, a potem ja przez godzinę wydobywałem linę i siebie z przewieszki. Więc dziesięć metrów zejścia około 4 i pół godzin. Głód i febra z zimna uprzyjemniały tę chwilę.

Musiła nas zastać w urwisku noc. Zimna, grzmotami huraganu napełniona, tatrzańska noc. Schodziliśmy jednak wytrwale: im niżej tem łatwiej było. Znaleźliśmy dwa razy łatwiejsze obejścia naszej drogi wejściowej ale zaklinowany blok i parometrowa przewieszka nie dały się obejść. Haków już nie miałem.

Została w urwisku wierna towarzyszka tyłu wypraw... lina.

Piarg.

Rumowiska Czeskiej Doliny.

Tak jakoś nieswojo się czułem. Nic mi już nie grozi, tylko przy dobrych chęciach mógłbym jeszcze spaść: piarg nad stawem podcina się płytami. Ale da się je obejść (bez żadnych trudności!).

Tu w dolinie pada deszcz. Ostatni raz obejrzałem się na ścianę. Jakiś cień przesunął się skalną półką poprzez spaszty niezdobytej północnej ściany Galerji Gankowej. Genjusz urwiska.

— Więc co sądzisz ostatecznie o tej ścianie? — przerwał mi nagle opowiadanie Marek.

— Absolutnie wykluczone! — takiego byłem zdania.

Jaś wrócił do Zakopanego, poszedłem z Markiem do Doliny Staroleśnej na podbój innych ścian.

W tydzień po owym dniu, w mglisty sierpniowy ranek. Marek i ja dotarliśmy do najwyższego haka w północnej ścianie Galerji.

— Sądysz, że puści ten komin?

— Naturalnie! — odrzekłem towarzyszowi.

Po ośmiu godzinach walki cięższej niż w ów śnieżny dzień — zdobyliśmy urwisko Galerji Gankowej.

Kiedy późną nocą obejrzałem się w dolinie ku górą, zamajaczył mi jakiś cień na tarasie odległej Galerji. Genjusz urwiska błędził nad obrywami zwyciężonej ściany.

Wiesław Stanisławski.

Z TEKI KARYKATUR E. FEDEROWICZA.



...ano spróbujemy!.. camping... week end...



...stacja?... a gdzie restauracja?...



...kelner... week... whisky and... soda...



DLA SPORTU

KOMPASY, STOPPERY,
SIŁOMIERZE, OKULARY
ZWYKŁE i OCHRONNE,
LORNETKI, MIARY, BA-
RO- i TERMOMETRY.

Pióra wieczne
WATERMAN'a

G. GERLACH, Warszawa
Osolińskich 4. Telefon 649-77.

PRZEGLĄD WYDARZEŃ SPORTOWYCH.

Kolarstwo.

Wyścig do morza w sześciu etapach rozegrano na trasie 1100 km. Pierwsze miejsce zdobył Kłosowicz 41:46:09 bijąc zeszłorocznego zwycięzcę Więcka o 2 min. 33 sek. Trzecim był Kozłowski przed Kołodziejczykiem, Korsak-Zaleskim i Oleckim.

Bieg szosowy Lwów—Stryj (144 km) wygrał Kizel 4:42:44 przed Kiczkiem.

Szamota startował w Wiedniu, gdzie odpadł w półfinale, pokonany przez Swobodę, a w biegu amerykańskim 1 godz. zajął drugie miejsce wraz z Dusiką.

Wyścig naprzelaj o mistrz. Polski wygrał W. Motyka 1:11:40 przed Głowackim.

Mecz kolarski Polska — Węgry na Dynasach wygrała Polska 19:12.

Sport motorowy.

Raid Warszawa—Wilno—Warszawa 1100 km. na motocyklach wygrał w ogólnej klasyfikacji kpt. Kossowski, a drużynowo — sekcja motocyklowa Legji.

Kobięcy raid automobilowy odbędzie się 19 i 20 bm. na trasie Warszawa—Krynica—Warszawa.

Tenis.

W Budapeszcie Jędrzejowska pokonana została w finale przez Hammer, zaś w grze podwójnej zdobyła pierwsze miejsce wraz z Eisenmenger. W grze mieszanej wraz z Witmanem zmuszeni byli zrezygnować z półfinału z powodu wyjazdu. Witman pokonany został w ćwierćfinale przez Bertheta, w grze podwójnej wraz z Dryetowskim odpadli w półfinale.

Najuch gościł w Warszawie, gdzie z łatwością pokonał J. Stolarowa, Tłoczyńskiego i M. Stolarowa. a w grze podwójnej wraz z Stubem wygrali z braćmi Stolarow.

Międzynarodowe Mistrzostwa Polski, rozegrane 8—17 b. m. przyniosły tytuły Mistrzów w następujących konkurencjach: Panowie: Berthet pokonał Tłoczyńskiego, Panie: Jędrzejowska pokonała Deutsch. Gra podwójna: B-cia Stolarow. Gra mieszana Jędrzejewska—Tłoczyński. Gra podwójna: Berthet—Deutsch. Gra juniorów: Konjovic. Gra pocieszenia Ferenczy.

Sporty wodne.

Mistrzostwo Polski w waterpolo zdobyła Makabi przed Cracovią, AZS Warszawa i Unią.

Wyścig wpraw przez Poznań wygrał Kaniak, a wśród pań — Antkowiakówna.

Drużynowe mistrzostwo pływackie na r. bież. przypadło AZS-owi przed Giszowcem i Cracovią. Po dwóch latach prowadzi AZS przed Cracovią, Giszowcem, Hakoahem, EKS-em i Makabi Kraków.

Na regatach wioślarskich w Warszawie triumfowały osady KW Poznań 04 w biegu dwójek i czwórek. Bieg ósemek wygrało WTW, a jedynek — Verey (AZS Kraków).

Boks.

W drużynowym mistrzostwie stolicy Polonia pokonała Makabi 10:6 i spotka się w finale z CWS, który wygrał ze Skrą.

Drużynowym mistrzem Śląska został BKS.

Międzymiastowy mecz Poznań—śląsk wygrali poznanacy 10:6.

Lekka atletyka.

Mecz z Czechami rozegrany w Król. Hucie przyniósł zwycięstwo Polsce po zaciętej walce 79:72. Wyniki: 100. 200 i wdał — Engl (C) 10.8, 22.4 i 691 400 m — Knenitzky (C) 49.6 800 m. — Drozda (C) 2:00 1500 i 5000 m — Kusociński (P) 4:03 i 14:58, 110 m. płotki — Nowosielski (P) 15.6, 400 m. płotki — Kostrzewski (P) 56.4, 4×100 i 4×400 m. — Polska 43.4 (rekord) i 3:24, wzwyż — Horak (C) 184, tyczka — Koreys (C) 3.80, kula — Douda (C) 15.71, dysk — Heljasz (P) 45.09 (rekord), oszczep — F. Mikrut (P) 56.02.

Trójbój kobiecy o mistrzostwo Polski wygrała Kwaśniewska 136 pkt. przed Manteuflówną 132 pkt. i Hulanicką 130 pkt.

AZS Warszawski zdobył już po pięcioletnich walkach nagrodę PUWF, Dianę, za pierwsze miejsce w drużynowej klasyfikacji mistrzostw Polski. Drugie miejsce przypadło Grażynie.

Nurmi startuje 19 b. m. w Warszawie, a 20 b. m. w Królestkiej Hucie.

Mecz z Czeszkami odbędzie się 26 b. m. w Pradze, a mecz z Belgią 11.X w Brukseli. Finał drużynowych mistrzostw Polski Warta—AZS Warsz. odbędzie się 27 bm. w Poznaniu.

We Lwowie Śliwak osiągnął na 60 m. — 6.7, a na 100 m. — 10.9.

Mecz Italja—Polska rozegrany w Poznaniu wygrali Włosi 72:69. 100 i 200 m. — Toeti (I) 10.8, 22.2, 400 m. — Biniakowski 49.6, 800 m. — Beccali (I) 1:57.4, 1500 i 5000 m. Kusociński 3:59 i 15:09, 110 i 400 m. płotki — Facelli 15.2 (Nowosielski 15.4) i 55.4, 4×100 — Italja 3:23.2, wdał — Maffei (I) 707, wzwyż — Chmiel 180, kula i dysk — Heljasz 14.66 i 43.16, oszczep — Mikrut 60.22.

Dziesięciobój o mistrz. Polski wygrał Balcer 6546 pkt. przed Wieczorkiem 6533, a bieg 3 km. z przeszkodami wygrał Mittenberg 10:31 przed Garnarczem.

Piłka nożna.

W meczach ligowych 6 bm. grali: Cracovia—Wisła 2:1, Ruch—Warta 2:0, Garbarnia—Legja 3:0, ŁKS—Lechja 7:0, Czarni—Pogoń 1:1, Polonia—Warszawianka 4:1. W dniu 13 b. m. grali: Legja—Polonia 1:1, Pogoń—Warszawianka 3:1, Garbarnia—Warta 2:2, ŁKS—Ruch 4:0, Wisła—Czarni 2:1.

Tabela ligowa przedstawia się obecnie następująco: 1) Garbarnia 22 p., 2) Wisła 22 p., 3) Pogoń 21 p., 4) Legja 19 p., 5) Warta 17 p., 6) ŁKS 16 p., 7) Pogoń 16 p., 8) Ruch 16 p., 9) Cracovia 13 p., 10) Warszawianka 10 p., 11) Czarni 10 p., 12) Lechja 8 p.

O wejście do Ligi stan rozgrywek jest następujący: I grupa: 1) ŁTSG 6 p., 2) Legja 4 p., 3) Skra 2 p., 4) Gryf 0 p. II grupa: 1) RKS 4 p., 2) Naprzód 2 p., 3) Podgórze 0 p. III grupa — 1) 1 p. p. leg. 4 p., 2) 82 p. p. 2 p., 3) 76 p. p. 0 p. IV grupa — 1) Revera 4 p., 2) 22 p. p. 2 p., 3) WKS Równe 0 p.

Gry sportowe.

Reprezentacja Warszawy w hazenie pokonała Łódź 9:2, a następnie grała w Czechosłowacji z reprezentacją Pragi 4:4 i 1:5, z repr. Mielnika 4:9.

Do finału mistrzostw Polski w koszykówce męskiej staną Cracovia, Polonia i AZS Poznań, do mistrzostw hazeny Polonia, Cracovia, HKS Łódź i Warta, do mistrzostw koszykówki kobiecej IKP, Cracovia, AZS Warsz., Sokół Grudziądz, a do mistrzostw szczypiorniaka Sokół Kraków, KS Chorzów, YMCA W-wa, Warta i Szkoła Podchor. Bydgoszcz.

CZY ZŁOŻYŁEŚ OFIARĘ

NA FUNDUSZ OLIMPIJSKI

Konto Stadjonu w P. K. O. 7498

Na czekach prosimy dopisywać „Na fundusz Olimpijski“.

16-ty KOLARSKI PIERWSZY KROK „STADJONU“ na 20 i 50 klm.

rozebrany zostanie 20 września r. b.

Na szosie Jabłonna-Legjonowo

Wpisowe zł. 1 do biegu na 20 klm. i Zł. 2 do biegu na 50 klm.

Zapisy w Redakcji Stadjonu do dnia 19 września r. b.

Obydwa biegi są dostępne tylko dla nielicencjonowanych

W biegu na 20 klm. nie mogą startować ci zawodnicy którzy w biegach poprzednich „Stadjonu“ zajęli miejsca od 1-go do 15-go.

W biegu na 50 klm. mogą startować wszyscy nielicencjonowani, którzy w biegach poprzednich „Stadjonu“ na 50 klm. nie zajęli miejsca od 1-go do 10-go.

**Klub którego zawodnicy zajmą najwięcej miejsc wśród pierwszych 25-ciu
zdobędzie nagrodę przechodnią**

Państwowego Urzędu Wychowania Fizycznego i Przeposobienia Wojskowego

**Nagroda przechodzi na własność klubu po trzykrotnem kolejnem lub pięciokrotnem
niekolejnym zdobyciu.**

Znakomitym napojem dla sportowca po treningu
jest

**UZNANA W CAŁEJ POLSCE ZA NAJLEPSZĄ
HERBATĄ Z „KOPERNIKIEM“**

ŻAŁĄC W SZĘDZIE MIESZANEK nr nr: 190.100 i 23

SKŁAD GŁÓWNY WARSZAWA BRACKA 23, PIŁA MONIUSZKI 3
WARSZ. TOW. HANDLU HERBATĄ A. DEŁUGOŁĘCKI, W. WRZESNIEWSKI
SP. AKC.



Najwyższy czas opłacić
prenumeratę z a ==

„STADJON“

Dla zalegających w opłacie
załączamy w zeszyte чеки

Konto P. K. O. 7498.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA:

Warszawa, Galeria Luksenburga (ul. Senatorska 29).
Telefon 670-56. _____ Konto P. K. O. 7498.

PRENUMERATA WYNOŚI:

Rocznie Zł. 24.—
Półrocznie Zł. 12.—
Kwartalnie Zł. 6.—
Zmiana adresu 50 gr. Prenumerata zagraniczna 50% drożej.

CENNIK OGŁOSZEŃ:

1/1	Zł. 400.—
1/2	Zł. 210.—
1/3	Zł. 150.—
1/4	Zł. 110.—
1/8	Zł. 60.—
1/16	Zł. 35.—

Ogłoszenia w tekście i zagraniczne 50% drożej.

Rękopisów nie zwracamy.

Redaktor i Wydawca: **Mieczysław Majcher.**

Redaktor nacz. **Wiktor Junosza.**

Redaktor przyjmuje od 11 — 13. Sekretariat czynny od godz. 10 — 13. Administracja od godz. 10 — 16.

Drukarnia Techniczna, Sp. Akc., Warszawa, ul. Czackiego 3/5.